№ 22. Warszawa, dnia 2 Czerwca (21 Maja) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach. w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Szanownym abonentom naszym przypominamy zbliżający się termin kwartalnej przedpłaty i prosimy o zamówienia wczesne, ażebyśmy im mogli w porę zadość uczynić.

Przed wystawą.

Jedno z pism prowincyonalnych radzi przemysłowcom rolnym, mającym zgromadzić się na wystawie inwentarza, ażeby skorzystali z licznego spotkania się i pomówili o spółkach ziemiańskich. Rada ta powinna być przyjętą pod właściwym adresem nietylko w tej jednej sprawie, ale we wszystkich innych, które zbiorowego namysłu potrzebują. Jest ona zaś tem bardziej na miejscu, że dotąd warszawskie wystawy inwentarza miały przeważnie charakter popisu i rozrywki. Na pierwszy — zgoda. Cokolwiek przyczepilibyśmy do aktu prezentowania okazowych koni, bydła i owiec, zawsze te okazy stanowić będą rdzeń dorocznych zjazdów gospodarskich. Nie mamy również wiele przeciwko rozweselaniu się karuzelem i wyścigami, ale niech zabawy nie będą jedynem dopełnieniem hodowlanego popisu. Tymczasem — wyjąwszy nieliczną gromadkę przemysłowców poważnych, pojmujących wystawę głębiej — dla większości ziemian jest ona po prostu letnim karnawałem. Ci „obywatele" wziąwszy zaliczki na zielone zboże, sprawiwszy swym żonom lub córkom najmodniejsze stroje, przyjeżdżają do Warszawy, ażeby sobie pohulać, pobłyszczeć w Alejach, Dolinie Szwajcarskiej i teatrze. Dla tego też ruch przedwystawowy z większą może siłą odbija się w magazynach, niż na Placu Ujazdowskim; tam wyczuć można najlepiej jego puls, jego natężenie. Całe też święto odbywa się dosyć wesoło. Płeć piękna wijąc się sznurem między klatkami inwentarza rzuca zalotne spojrzenia na płynącą równolegle złotą młodzież, muzyka wygrywa skoczne melodye, panowie hasają na dziarskich rumakach a sprawozdawcy teatralni, uwolnieni na kilkanaście dni od swych zwykłych obowiązków, oceniają konie i krowy. Słowem rozkoszna sielanka, zostawiająca odpowiedni ślad w literaturze. Nie powiemy, ażeby to miało być nudnem i nie wywierało wpływu na nasz humor. Owszem, bawimy się wybornie. Nawet „kantorowicze," ozdobiwszy klapy marynarek kwiatkami i rozparłszy się w dorożkach, zajeżdżają tłumnie na wystawę i okiem znawców wyróżniają *szwyce* lub *trakeny*. Wszyscy spieszą na warszawskie *corso*, na bal pod otwartem niebem — ścisk, wrzawa, śmiechy, rozpromienione twarze znamionują chwilę niewątpliwego, szczerego wesela. Warszawa jest wtedy rzeczywiście rozbawioną. Trzeba być nieprzyjacielem radości ludzkiej, ażeby ją płoszyć zmarszczoną miną tam, gdzie ona pojawia się tak rzadko. Ale gdy gospodarz otoczonego balu, po rozjechaniu się gości, spostrzega, że wiele butelek szampana pękło, ale żadna z wielu dojrzałych córek konkurenta nie znalazła, uczuwa prawdziwy smutek. Smutek ten ogarnia nas po każdej wystawie. Ziemianie nasi mają mnóstwo dojrzałych... potrzeb na wydaniu, które ich gniotą, pragnęliby na liczniejszem zgromadzeniu z głowy ciężar zrzucić, a tu tymczasem zabawa wystawowa przemija i każdy pozostaje ze swoimi kłopotami. W innych warunkach —t. j. przy istnieniu osobnych organów i zbiorowisk życia, do których zwracałyby się sprawy mające związek z gospodarstwem rolnem, ale niedotyczącem bezpośrednio hodowli bydła i koni— możnaby zauważyć, że wystawa inwentarza powinna być tylko wystawą inwentarza; u nas jednak, zmuszonych nieraz łączyć przedsięwzięcia wzajemnie od siebie niezależne i wyzyskiwać wszelkie sposobności, powyższa uwaga traci swą słuszność. Nasi przeto gospodarze winni skorzystać z licznego zjazdu i naradzić się nad kwestyami pierwszorzędnej wagi. Nad jakiemi? Układanie porządku dziennego nie do nas należy, lecz do interesowanych. Gdyby zaś ktokolwiek z własnych doświadczeń nie mógł ułożyć sobie tej litanii, przy której chór ziemiański powtarza od dawna: „zmiłuj się nad nami," znajdzie ją w *Gazecie Rolniczej*, która bardzo troskliwie wszelkie modły na intencyę swoich czytelników zbiera. Pismo to — chociaż nieraz w kierunku swoim rozbiega się znaszą drogą — ma prawo do rzetelnego z naszej strony uznania w zakresie spraw ziemiańskich. Kto je uważnie czyta, wie dokładnie, co najbardziej dokucza i co przedewszystkiem poprawić należy. Materyał zatem do obrad przygotowany, potrzeba tylko wycofać dlań nieco uwagi z karuzelów i wyścigów. Każda zaś zbiorowo podniesiona myśl, rzuciwszy przez uczestników wystawy swe promienie po całym kraju, obudzi daleko większą energię, niż pokutując w jednej głowie, lub krążąc w ciasnem kółku sąsiedzkiem. Dotychczas gorzkie żale naszych ziemian nie wychodziły prawie po za granicę elegii służebnościowej i dopiero w ostatnich czasach zaczęli oni krzątać się około spółek zbożowych, stowarzyszyli się w kilku przedsięwzięciach, marzą nawet o kółkach włościańskich — słowem rozszerzają pole swojego widzenia i pojmowania interesów. Pragnęlibyśmy, ażeby po tem przełamaniu starej obręczy nie nastąpiła zwykła obojętność i ażeby żywotny prąd nie był chwilowym cugiem, wytworzonym przez otworzone na przestrzał lufciki. Między bezużytecznością przebijania głową muru

a leniwem zakładaniem rąk rozciąga się olbrzymia przestrzeń dla owocnej pracy, która „bryły świata“ z posad nie wyważy, ale też nie pozwoli małemu jej odcinkowi stężeć w twardą i jałową skałę.

„Pilne potrzeby.“

Jedna z prenumeratorek *Biesiady Literackiej*, zachęcona odgłosem ofiary p. Łojki, przysłała redakcyi kilkadziesiąt rubli dla przyszłego uniwersytetu kobiet. Za to w pokwitowaniu otrzymała artykuł o „mąceniu opinii publicznej w kierunku niepraktycznych mrzonek.“

„Praktyczny“ tygodnik rozumowanie swoje oparł na kilku frazesach, jakimi się u nas zwykle hypnotyzuje rozbudzoną do życia myśl społeczną. Była więc tam mowa o „gwałtownych przeskokach,“ o „pilniejszych potrzebach,“ o „utopiach marzycieli“ i o tem, że „kobieta Minerwą być może, ale Herkulesem nie będzie.“

Z tego wszystkiego przyszedłem naprzód do wniosku, że *Biesiada* Herkulesem w logice nie jest, a Minerwą nigdy nie będzie.

Dojrzalsze od nas społeczeństwa dawno już powiedziały światu, czego chcą od uniwersytetów kobiecych, a prasa postępowa oddawna już oczyściła się u nas z zarzutu marzycielstwa w przedmiocie wyższej oświaty niewieściej. Każdy, kogo wieczny letarg umysłowy nie nęci, wie już dzisiaj, że równouprawnić kobietę — nie znaczy zrobić z niej mężczyznę. Wiedzą o tem i wszystkie redakcye naszych praktycznych tygodników, ale za lat wiele jeszcze nie przestaną one okłamywać swoich czytelniczek, nie przestaną wmawiać w nie, że postępowcy pragną w miękkiej dłoni ujrzeć młot kowala, albo karabin żołnierza.

To się nazywa czuwać na straży najdroższych pamiątek.

Nie zaczekawszy, aż kobieta nasza stanie się Minerwą, zachowawcy pragną widzieć w niej Herkulesa. Na słabe jej barki wkładają oni niemal cały ciężar obowiązków rodzinno-społecznych. „Niech będzie tylko dobrą matką i obywatelką.“ To znaczy, niech będzie głównym filarem budowy społecznej. A skądże sił zaczerpnie, kiedy dzisiaj nietylko nauka katechizmu, ale i znajomość gry fortepianowej ich nie dostarczy? Śmieszne wymagania: kobieta Herkulesem być nie może; jest ona zwykłym człowiekiem, który wtedy tylko ciężkiej pracy podoła, gdy go do niej odpowiednio uzdolnimy i uzbroimy.

Jedyny argumentem, jakim *Biesiada* swoją teoryę *anti-przeskokową* poparła, jest twierdzenie, iż pierwej należy pomyśleć o reformie szkół średnich i że nigdzie nie zakładano uniwersytetów przed udoskonaleniem gimnazyów.

W twierdzeniu tem kryje się gwałtowny — przeskok od prawdy do fałszu i od praktycznej znajomości stosunków do frazesów o istotnych potrzebach społecznych.

Jeżeli chodzi o historyczny rozwój wychowania wogóle, to nigdy i nigdzie wzorowa szkoła nie poprzedziła powstawania wszechnic. Chwila zastanowienia wyjaśnia nam całą konieczność takiego stosunku: gimnazyum nie może nie czerpać dla siebie wskazówek z uniwersytetu. To też podczas gdy wszechnice Europy stanęły już oddawna na niewzruszonych podstawach ogólnej metodyki, podczas gdy toczą się tam spory tylko o szczegółowe programy dla rozmaitych katedr, w szkołach średnich tymczasem zasadnicza kwestya realnego albo klasycznego kierunku nie została jeszcze rozstrzygniętą. Ale nie chodzi nam tutaj tak bardzo o historyę. Ważniejszym jest fakt, iż wszystkie prawie wady naszych pensyj żeńskich są *wynikiem braku własnego uniwersytetu dla kobiet*.

Nie mówiąc o błędach, od społeczeństwa niezależnych, wskażę tutaj dwie ciemne strony programu naszych żeńskich zakładów średnich: 1) zbyteczne przeciążanie młodych umysłów balastem erudycyi i 2) przeklinana przez wszystkich a niemniej starannie uprawiana wielojęzyczność.

Zadaniem wzorowych gimnazyów jest nietyle zbogacenie ucznia wiedzą faktyczną, ile przygotowanie go do przyjęcia wyższych prawd naukowych w uniwersytecie. Dla tego też znaczna część wykładanych przedmiotów (matematyka, języki starożytne), rozwijając znakomicie umysł słuchaczów, często nie ma w późniejszym życiu najmniejszego zastosowania praktycznego. Na stu ludzi jeden posługiwać się będzie regułą mieszania, a logarytmy zaledwie jednemu z tysiąca wyświadczą jakąś przysługę. Zupełnie innym musi być program pensyi żeńskiej, która jest *alfą* i *omegą* wykształcenia naszych kobiet i której szósta klasa jest ostatnim kursem ich uniwersytetu. Materyał faktyczny rozwielmożnia się tutaj kosztem przedmiotów rozwijających (matematyki) i kosztem zdrowia. Brak wszechnicy lub jakiejkolwiek wyższej szkoły kobiecej nietylko przeciąża ogólny program zakładu, lecz nie pozwala często pojedynczym swym wykonawcom pohamować nauczycielskich zapałów: każdy stara się wtłoczyć, co się zmieści w głowy biednych słuchaczek, bo „wszak tu już koniec ich nauki, wszak niepodobna, aby dobrze wychowana panienka nie wiedziała, że itd., itd.“ Dobrze wychowane panienki zapadają tymczasem na zdrowiu i uczą się —blagi.

Tradycyjne uprawianie wielu języków obcych jest drugą naszą klęską pedagogiczną. Wobec małej ilości dobrych przekładów, znajomość mowy francuzów lub niemców jest u nas niemal obowiązującą. Ale celem naszych pseudo-paryżanek nie jest czytanie dzieł naukowych obcych, celem tym — salon. Więc też i nauka języków na pensyach żeńskich, zamiast pełnić obowiązki roztropnej pomocnicy, przyjmuje na siebie rolę kapryśnej pani, pochłaniającej dużo czasu i pracy. Czy na sumieniu naszych przełożonych spoczywa ta wada szkolnego programu? Bynajmniej — przełożone są wykonawcami woli matek, a matki córek swych od tyranii nie uwolnią: kto nie ma prawdziwej nauki — pragnie zabłysnąć... paryską wymową. Małpowaniu temu koniec mógłby położyć tylko uniwersytet, otwierający umysłom naszych kobiet różne widnokręgi prawdziwej wiedzy. Ale my prawdę tę zrozumiemy nierychło, bo tymczasem musimy zwracać oczy nasze w kierunku „pilniejszych potrzeb“ — *Biesiady*.

Co do bałamucenia opinii, to najwięcej szkody przynoszą jej wszelkie gołosłowne wykrzykniki o „podkopywaniu tradycyi.“ o „poczciwych gruntach,“ „samozwańczych apostołach,“ „pilniejszych potrzebach“ itp. Jeżeli się mówi komuś, aby dał pieniądze na uniwersytet, to trzeba go o korzyściach tej instytucyi przekonać. Argumenty mogą trafić do umysłu lub nie; jest to już rzecz siły dowodów i logiki słu-

Koza Seguina*)

Alfonsa Daudeta.

Do p. Piotra Gringoira, poety lirycznego, w Paryżu.

Zawsze jesteś jednaki i takim pewnie już umrzesz, biedny Gringoirze.

Czy podobna: proponują ci miejsce kronikarza w poważnym dzienniku paryskim, a ty zuchwalcze odmawiasz!... Zastanówże się, nieszczęsny chłopcze! Popatrz na poszarpany surdut, na dziurawe buty, na twarz, głodem ściągniętą. Widzisz, do czego cię doprowadziła namiętność rymotwórcza! Oto korzyść dziesięciu lat wiernej służby w świecie najjaśniejszego Apollina... Czy wreszcie nie masz wstydu?

Zostańże kronikarzem, waryacie; zostań kronikarzem! Będą ci płynęły piękne luidory, poznają cię eleganckie kawiarnie, będziesz mógł kupować nowe piórka do kapelusza.

Nie? Nie chcesz? Wolisz być swobodnym, panem siebie aż do końca... Posłuchaj więc historyi o *Kozie Seguina*. Zobaczysz, do czego prowadzi zamiłowanie takiej wolności.

Seguinowi nie wiodło się z kozami.

Tracił je wszystkie w jeden i ten sam sposób: pewnego ranka zrywały powrózek i biegły w góry, a tam je zjadał wilk. Ani pieszczoty pana, ani obawa wilka, nic ich nie mogło wstrzymać. Musiały to być kozy niezależne, żądne przestworów i swobody za wszelką cenę.

Poczciwy Seguin, który się nic nie znał na charakterze tych stworzeń, był zgnębiony.

— To daremne—mówił sobie—kozy się nudzą u mnie, nie uda mi się uchować żadnej.

Nie zrażał się jednak i straciwszy w taki sposób sześć kóz, kupił sobie siódmą; ale tym razem postarał się o zupełnie młodą, aby mogła lepiej przyzwyczaić się do pobytu u niego.

O, Gringoirze, jaka to była ładna ta kózka Seguina! Piękne, łagodne oczy, podoficerska bródka, błyszczące, czarne saboty, pręgowane rogi i długa, biała szerść, spływająca jak czaprak—wszystko tworzyło urok taki prawie, jak u koźlątka Esmeraldy, przypominasz sobie, Gringoirze? A przytem jaka ponętna, jaka grzeczna, dawała się najspokojniej doić, nie wkładała nogi w skopek — słowem kózka jak cacko...

Seguin miał po za domem smug, okolony żywopłotem. Tam to umieścił swą wychowankę. Przywiązał ją do pala w najładniejszem miejscu łączki, nie zaniedbał popuścić powrózka jak najdłużej i od czasu do czasu przychodził zobaczyć, jak się miewa. Koza czuła się bardzo szczęśliwą i chrupała trawę z takim smakiem, że Seguin był zachwycony.

— Nareszcie — myślał sobie biedaczysko—mam przecież taką, co u mnie nudzić się nie będzie.

Seguin nie zgadł, koza znudziła się.

Pewnego dnia rzekła ona do siebie:

— Jak tam, wysoko, musi być dobrze! Co za rozkosz brykać śród krzewiny bez tego przeklętego postronka na szyi! Niech w zagrodzie karmią się woły lub osły, dla nas, dla kóz, trzeba przestworów!

Od tej chwili trawa łączki nie miała dla niej najmniejszego smaku. Tęsknota jej opuszczała jej. Schudła, mleko stało się wodniste. Żal brał patrzeć, jak cały dzień włóczyła się na powrózku z głową zwróconą w stronę gór, z rozdętemi nozdrzami, wydając co chwila żałosne... mee...

Seguin spostrzegł natychmiast, że kozie coś się stało, ale nie wiedział co. Kiedyś rano, gdy skończył dojenie, koza zwróciła

*) Z *Lettres de mon Moulin*.

chacza, ale dowodzić i przekonywać każdy ma prawo.

Zresztą nie należy zapominać, że ten, co daje na uniwersytet, może nie chcieć dać na wybudowanie np. nowego kościoła, albo innej jakiejś „pilniejszej potrzeby." Podzielmy się pracą i nie krępujmy nikogo w wyborze.

Zachowawcy nasi obawiają się może, aby składki nie poszły z czasem pod fałszywym adresem. Co do mnie to z łatwością bym tego uniknął. Posyłam do redakcyi rubla i piszę: jeżeli pozwolenia na zbieranie składek nie uzyska się w przeciągu lat dwóch, proszę te pieniądze przesłać na korzyść studentek polek w Petersburgu. Z takich ofiar — w najgorszym razie — mogłoby się utworzyć kilka stypendyów dla tych, które nie pragną być Herkulesami. Prośba taka zmusiłaby niejednego redaktora zstąpić ze strażnicy „pilniejszych potrzeb," pójść do banku i na pocztę; byłoby to trudniejszem, niż odsyłanie pieniędzy prenumeratorce—w imię bezstronności, ale przepowiednia *Biesiady* o Minerwie sprawdziłaby się może rychlej.

J. K. Potocki.

NIE UDAŁO SIĘ...

Papież Leon XIII okólnikiem, wydanym do biskupów irlandzkich, zabronił duchowieństwu uczestniczyć w składkach na podarunek narodowy dla Parnella a zarazem osobiście udzielił napomnienie biskupowi Crooke, jednemu z najgorliwszych działaczów. Widocznie „szanowny stary gentleman" (tak nazwał papieża Gladstone w jednej z mów swoich) przecenił swój wpływ i znaczenie. Prawda, w Anglii powitano przysługę tę uznaniem, natomiast w Irlandyi okólnik papieski wywołał powszechne oburzenie i osiągnął skutek wręcz przeciwny zamierzonemu. Składki sypnęły się obficiej a liga narodowa wystąpiła z gorącym protestem przeciw nieproszonej interwencyi Rzymu.

Na walnem jej zebraniu (16 maja w Dublinie), przewodniczący, w nieobecności Parnella, członek parlamentu Mayne stanowczo oświadczył, iż liga narodowa kierować się będzie zdaniem O' Connella, który wyrzekł niegdyś, że Irlandya chętnie przyjmuje z Rzymu teologię, ale nie — politykę. Pierwszym artykułem wyznania wiary każdego irlandczyka jest niepodległość ojczyzny. Papieża jako głowę kościoła należy szanować, lecz w sprawach politycznych papieżem irlandzkim jest — Parnell.

Na zgromadzeniu ludowem, zwołanem tegoż dnia, członek parlamentu Sexton, wystąpił przeciw zgubnemu i niepolitycznemu użyciu za broń powagi duchownej w walce z najszlachetniejszymi dążeniami narodu. Okólnik stosuje się wyłącznie do duchowieństwa — powiada mówca — ale jakkolwiek przykro byłoby ludowi irlandzkiemu wyrzec się pomocy kleru, wszakże i w tym wypadku nie cofnie się on z wytkniętej drogi.

Najbardziej klerykalni, milczkiem i zastrzeżeniami, potępiają jednak politykę Watykanu. Nawet wpośród duchowieństwa, zwłaszcza niższego, znaleźli się tacy, którzy oświadczyli wyraźnie, że okólnik przyjmują do wiadomości, ale stosować się doń nie myślą. Najgoręcsi zaś z patryotów irlandzkich postanowili „bojkotować" papieża, uderzając w najbardziej czułą strunę Watykanu, odmówili bowiem raz na zawsze płacenia świętopietrza.

Jakie rachuby polityczne skłoniły Leona XIII do tego kroku, odgadnąć nie trudno; ale czy przewidywane korzyści okupią utratę powagi moralnej wśród potulnych i niezachwianie dotąd wiernych irlandzkich owieczek?

Rzym odsłaniając swoją egoistyczną, wyłącznie tylko na wyznaniowych interesach opartą politykę, własną ręką zadał sobie cios, z którego nie wyleczy go ani przyznanie przez rząd protestancki hierarchii katolickiej w Anglii, ani utworzenie angielskiej ambasady w Watykanie.

„Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu" — powiada przysłowie; dyplomacya jezuicka oddawna zmieniła je w ten sposób, że wszystkie drogi prowadzą Rzym do celu. Papiestwo, które w walce o swe doczesne dobra i moralną przewagę nigdy nie przebierało w środkach, które ustami teologów wygłosiło usprawiedliwienie królobójstwa i uzbroiło sztyletem dłoń Clementa i Ravaillaca, wywoływało bunty i posługiwało się nimi, ze zmianą okoliczności stanęło na czele obrońców istniejącego porządku rzeczy, nawet wtedy, gdy on tworzy rażącą sprzeczność z wymaganiami moralności i duchem religii chrześciańskiej. Zwłaszcza od czasu rewolucyi francuskiej Watykan stanowczo sprzymierza się z reakcyą, broniąc uparcie form przeżytych. Raz tylko, w ostatnich latach panowania Piusa IX, kiedy rządy państw europejskich weszły właśnie na drogę ugody z liberalnemi wymaganiami epoki, krewki i namiętny starzec, marzący o wskrzeszeniu tradycyi Hildebrandów i Inocentych III, rzucił się w wir walki, sypiąc jak z rękawa groźnemi bullami i klątwami na nieposłuszne głowy monarchów. Ale ten grad nie przeraził rządów i wykazał całą niemoc duchownej władzy. Układny i zimny Leon XIII zrozumiał błąd swego poprzednika, wybrał więc inną drogę. Wstępując w ślady Grzegorza XVI, który podczas ruchów rewolucyjnych z r. 1830 rzucił z Watykanu „anathema" na zbuntowaną Europę, pisze encykliki przeciw anarchistom i stara się wmówić w rządy, że pomoc Rzymu jest najpewniejszą rękojmią przeciw ruchom rewolucyjnym. Jednak wątpić należy, czy osiwiałe w dyplomatycznej posłudze wróble złapią się na te stęchłe plewy moralnego współdziałania. Niektóre rządy, uwzględniając religijne potrzeby swych katolickich poddanych, nawiązały na nowo zerwane układy z Kuryą, ale, o ile sądzić można, wzajemny stosunek kościoła i państwa zamknięty został w ściśle określonych granicach, i bądź co bądź, nikt, nawet książę Bismark nie pójdzie pono do Canossy.

A ludy? Ludy niejednokrotnie przekonały się o wartości papieskiej opieki. Nigdy, nigdy głos poniżonych i skrzywdzonych nie dosięgał podnóża tronu rzymskiego arcykapłana, nigdy nie znalazł i nie mógł znaleźć oddźwięku w piersiach wyperfumowanych monsignorów, kierujących polityką Watykanu. Ostatni okólnik Leona XIII do irlandzkiego duchowieństwa powinien otworzyć oczy najbardziej nawet zaślepionym.

Dla nas fakt ten oprócz ogólno-ludzkiego ma jeszcze i specyalne znaczenie. Odsłania on w całej nagości samolubną politykę Rzymu i pokazuje, co czeka poznańczyków i szlązaków w razie, jeśli rząd pruski doprowadzi do skutku ugodę z kuryą. Na patryotyzm większości duchowieństwa liczyć nie podobna — wiemy, na jakich wa-

---

głowę i odezwała się we właściwem jej narzeczu:

— Panie Seguin, widzisz, jak ja tu marnieję. Puść mnie w góry.

— Mój Boże! I ta także — zawołał Seguin osłupiały i puścił skopek na ziemię; potem usiadł na trawie obok kozy i przemówił:

— Więc ty chciałabyś mnie opuścić, Białuszko?

Białuszka odrzekła:

— Tak, panie Seguin.

— Czy ci trawy brak?

— Ale nie, panie Seguin.

— Możeś zakrótko przywiązana, jeżeli chcesz, to ci przedłużę sznurek?

— Nie warto, panie Seguin.

— Więc czego ci brak, czego chcesz?

— Chcę iść w góry, panie Seguin.

— Nie wiesz chyba, nieszczęsna, że tam są wilki. A gdy który cię napadnie?

— To ja go poczęstuję rogami, panie Seguin.

— Wilk kpi sobie z twoich rogów. On mi już pozjadał kozy nie z takimi rogami, jak twoje... Pamiętasz starą rogaczkę, co tu była zeszłego roku: herod-koza, silna i zła, jak tryk. Całą noc biła się z wilkiem... i cóż — rano zjadł ją!

— A, gałgan! Biedna Rogata!... To nic, panie Seguin, puść mnie w góry.

— Na miłosierdzie boskie — rzekł Seguin. Co tu począć z temi kozami? Znowu i tę pozre mi wilk. Ale nie, niech co chce będzie, uratuję cię, niegodziwa, pomimo twojej woli. Myślisz może, że zerwiesz powróz, nie, zamknę cię w oborze i nie puszczę nigdy.

Wziął natychmiast kozę i zaniósł do zupełnie ciemnej obory, a potem zamknął drzwi na dwa spusty. Nieszczęściem zapomniał o oknie i ledwie zdążył się obrócić, mała umknęła.

Śmiejesz się Gringoirze?.. Do licha, wiem o tem; trzymasz stronę kozy przeciwko temu poczciwemu Seguinowi. Zobaczymy zaraz, czy się długo śmiać będziesz.

Kiedy mała koza przybyła w góry, wszystko ogarnął zachwyt. Nigdy stare sosny nie widziały nic równie pięknego. Przyjęto ją jak małą królowę. Kasztany gięły się aż do ziemi, aby końcami konarów popieścić małe stworzonko. Cała góra święciła jej przyjście.

Domyślasz się, Grignoirze, jak szczęśliwa była nasza koza. Ani powrozu, ani pala, ani nic, co by jej przeszkadzało hulać i paść się dowoli... Tam to dopiero było paszy, powyżej rogów, mój drogi. I jakiej paszy! Smacznej, delikatnej, świeżutkiej, złożonej z tysiąca roślin... To nie murawa na zamkniętej łące. A kwiaty! Duże, niebieskie dzwonki, purpurowe goździki, lasy całe dzikiego kwiecia, pełne odurzających soków.

Biała koza, przez pół już nasycona, przewróciła się do góry nogami w trawę, i toczyła się po pochyłości, ciągnąc za sobą spadłe liście i kasztany... Nagle jednym rzutem powstała. Hop, i już w drodze, głowa naprzód, przez krzaki i chwasty, to miga na samym szczycie wzniesiona, to bieleje w głębi wąwozu; na górze, w dole, wszędzie. Ktoś by pomyślał, że w górach jest dziesięć kóz Seguina.

I niczego się nie bała ta Białuszka.

Potężnym skokiem przesadziła wielki potok, bryzgający pyłem wodnym i pianą. Przemoczona do ostatniego włoska chciała się wyciągnąć na płaskiem urwisku i wysuszyć na słońcu. Potem zbliżyła się, ze stokrótką w zębach, na krawędź skały i w dole, zupełnie w dole, w głębi doliny spostrzegła dom Seguina, a po za nim ogrodzenie. Zaśmiała się, aż łzy w oczach stanęły.

— Jakie to małe—zawołała—jak ja tam mogłam wytrzymać!

Biedaczka! widząc się wzniesioną tak wysoko, sądziła, że jest, co najmniej tak wielka—jak świat.

Ostatecznie był to piękny dzień dla kozy Seguina. Około południa, kręcąc się na wszystkie strony, trafiła na stado dzikich kóz, które objadały liście świeżej latorośli. Mała nasza skoczka, biało ubrana, sprawiła niemałe wrażenie. Dano jej najlepsze miejsce do jedzenia i wszyscy panowie zachowali się z wielką galanteryą. Zdaje się nawet—ale niech to między nami zostanie, Gringoirze — że jakiś młody koziołek w czarnem futerku miał szczęście podobać się Białuszce. Dwoje kochanków błądziło

runkach układał się kardynał Ledochowski z rządem pruskim. Za jaką cenę „osierocone“ probostwa i katedry biskupie otrzymają nowych pasterzy, zobaczymy zapewne wkrótce. A czyż znajdziemy w gronie szląsko-poznańskiej deputacyi sejmowej: Parnellów, Maynów, Sextonów? Śmiesznie doprawdy nawet pytać o to...

J. L. P.

Z WIELKIEGO PROCESU.

Sprawa polepszenia bytu warstw roboczych zajmuje obecnie wszystkie rządy i społeczeństwa cywilizowane, a sam ów „stan czwarty“ wszędzie coraz świadomiej broni swoich interesów. I robotnicy paryscy wystąpili obecnie z ważną odezwą do senatu i sejmu francuskiego. Prasa demokratyczna i republikańska podnosi gorąco ten adres, zredagowany trzeźwo i z wielkiem umiarkowaniem. Dla zrozumienia całej słuszności zawartych w nim żądań, trzeba przypomnieć, że 9 czerwca 1881 r., t. j. podczas przeszłej sesyi parlamentarnej, Izba przyjęła projekt urządzenia tak zwanych syndykatów zawodowych. Korzyści, jakie miała zapewnić ta uchwała klasom roboczym, nie zostały jeszcze urzeczywistnione, gdyż Senat jej nie zatwierdził. Za dawnych rządów nie dozwalano nigdy we Francyi porozumiewać się robotnikom pomiędzy sobą we wspólnych sprawach. Senat obawiał się takiegoż porozumienia pomiędzy syndykatami. Unika on zaprowadzenia we Francyi instytucyj w rodzaju angielskich „Trades Unions,“ odbywających corocznie kongresy. Tymczasem aż nadto widocznem jest, że ogólny pożytek społeczny ze stowarzyszeń robotniczych może być osiągnięty dopiero przy jak najszerszem ich skojarzeniu się. Cóż mogą zdziałać koła odosobnione, gdy idzie np. o podniesienie płacy zarobkowej? Jakież znaczenie może mieć głos jednego syndykatu, gdy chodzi o polepszenie bytu terminatorów, o pomoc w wypadkach nieszczęśliwych, o emerytury dla starców niezdolnych do pracy? To też dzienniki francuskie energicznie wzywają Senat, aby wysłuchał głosu robotników, gdy Izba powtórnie zagłosuje przychylną dla nich ustawę. Oto treść ich żądań, wypowiedzianych we wzmiankowanej odezwie:

Z jednej strony olbrzymie bogactwa — z drugiej niewysłowiona nędza. Wzrastająca ciągle walka pomiędzy warstwami bogatemi a wydziedziczonemi ze wszystkiego podkopuje ekonomiczny rozwój społeczeństwa. Któż ośmieli się powiedzieć, że niema drogi wyjścia z tego położenia, że cały świat winien być oddany na pastwę klas samolubnych, że musi zawsze być polem, na którem zwycięzcą w walce zostaje nie najrozumniejszy, najczynniejszy i najpracowitszy, lecz najbardziej... uprzywilejowany!

Oto dla czego myśliciele i politycy powinni się zająć położeniem robotników, jeśli chcą utrwalić pokój między obywatelami.

Żądania nasze są znane, lecz urzeczywistnienie ich spotyka jeszcze chwiejność wśród parlamentu.

Sądząc ze stanowiska socyalnego, jesteśmy przekonani, że rozwój jednostki w społeczeństwie ludzkiem, uorganizowanem na naturalnych zasadach demokratycznych, stanowi istotną podstawę postępu. Dla tego odrzucamy jako przeciwne doświadczeniu dziejowemu i prawom socyologii chimeryczne teorye komunizmu i wtrącanie się rządu do pracy. Słowem powstajemy najenergiczniej przeciw wszelkiego rodzaju socyalizmowi państwowemu, wiodącemu fatalnie do tyranii. Mniemamy, że zadanie państwa polega na tem głównie, aby przez naukę bezpłatną dać wszystkim środki walki o byt i zapewnić los starcom i kalekom, upadłym w twardych zapasach życiowych.

Sądzimy, że swoboda porozumiewania się, zniesienie monopolów finansowych, usunięcie podatków pośrednich a wprowadzenie natomiast podatku opartego na wartości majątku obywateli — uczynią nierównie więcej dla dobra naszego położenia społecznego, aniżeli wszelkie rachuby na całkowity, gwałtowny przewrot obecnego ustroju.

We względzie politycznym nie zapominamy, że jako wyborcy możemy zapewnić zwycięstwo naszej idei przy głosowaniu powszechnem.

Czegóż nam potrzeba?

Przedewszystkiem, swobody zgromadzeń dla organizowania rynku pracy, jako przeciwwagi rynkowi kapitału. Powtóre, zmiany ustawy z r. 1867 o stowarzyszeniach, tak, aby robotnicy z wszelką łatwością kojarzyć mogli stowarzyszenia wytwórcze.

Ustawa, uchwalona przez Izbę deputowanych na ostatniej sesyi prawodawczej, zadowoliła nas i była o tyle liberalną, że znalazła dobre przyjęcie ze strony interesowanych. Senat, z obawy zbyt wielkiego (!) rozwoju stowarzyszeń robotniczych, zmienił ją w duchu ścieśniającym. Jest jednak środek dla uspokojenia Senatu: oto nadać jaknajwiększą jawność całej działalności wszelkich stowarzyszeń robotniczych.

Mamy zaszczyt proponować zmianę w ustawie pomienionej, która jest prostem wprowadzeniem prawa, kierującego angielskiemi „Trades Unions:“

„Każda Izba syndykalna lub związek Izb syndykalnych, chcący otrzymać znaczenie osoby prawnej, winien zawiadomić o tem biuro komisyi sejmowej, mającej wykonać tę ustawę. Otrzyma on na to świadectwo a komisya zawiadomi merowstwo, o siedzibie stowarzyszenia.

„Corocznie Izby syndykalna, lub związek wniesionych tym sposobem do regestru, winny zawiadamiać komisyę sejmową o stanie finansowym stowarzyszenia i liczbie jego członków.“

Mamy w was zaufanie, panowie, i nadzieję, że nam odpłacicie tem samem uczuciem. Idźcie śmiało po drodze reform i dajcie nam wolność.

Zapewniając nam środki legalne organizowania największej potęgi społecznej, jaka zawsze stała na usługi cywilizacyi i postępu, usuniecie rozterki, istniejące wśród robotników, utrwalicie Rzeczpospolitę i lepiej nierównie od waszych poprzedników zabezpieczycie spokój i przyszłość naszej drogiej ojczyzny.“

Obok tego głosu, będącego wyrazem obecnych życzeń robotników francuskich, wśród agitacyi w tym kierunku nie mniej ważnym jest kongres, odbywający posiedzenia swe w Paryżu pod prezydencyą obywatela Joffrina. Po wezwaniu przez prezesa, aby anarchiści nie przeszkadzali rozstrząsać spokojnie spraw bieżących, jednym z najważniejszych przedmiotów była kwestya mieszkań i domów robotniczych. Przedstawiono zgromadzeniu kilka sprawozdań i badań, zebranych nader starannie z uwzględnieniem danych

---

po lesie godzinę czy dwie, a jeżeli chcesz się dowiedzieć, co tam mówili, idź zapytaj o to gadatliwego strumienia, który się sączy niewidzialny śród ruchu.

Nagle wiatr ochłódł; góra pociemniała, nadszedł wieczór.

— Już — rzekła kózka i zatrzymała się mocno zdziwiona.

Na dole pola pokryte były mgłą. Zagroda Seguina znikła zupełnie. Z całego domku dojrzała tylko dach i pasek maleńki dymu; słyszała klekotki ciągnących na nocleg stad i zrobiło jej się dziwnie smutno na sercu... Wracający sokół potrącił ją w przelocie skrzydłem. Zadrżała... Potem rozległo się w górach przeciągłe hukanie.

„Hu! Huu!“

Pomyślała o wilku, cały dzień nie przeszło to jej, szalonej, przez głowę. W tejże samej chwili gdzieś daleko w dolinie zabrzmiała trąbka. To ten poczciwy Seguin próbował ostatniego wysiłku.

— Hu! Hu! — rozlegał się głos wilka.

— Powracaj, powracaj —wołała trąbka.

Białuszka miała ochotę wrócić; ale przypomniał jej się pal, powróz, żywopłot ogrodzenia, pomyślała, że teraz nie mogła by już wytrzymać w takim stanie i że lepiej zostać.

Trąbka ucichła.

Koza usłyszała po za sobą szelest liści. Obróciła się i ujrzała wśród zmroku dwoje krótkich, sterczących uszu i parę błyszczących oczu...

Był to wilk.

Ogromny, nieruchomy siedział na ogonie, spoglądając na małą, białą kózkę i smakując już zawczasu. Był pewny, że ją pożre i dlatego nie spieszył się, a tylko kiedy się odwróciła, wybuchnął śmiechem:

— Ha, ha, kózka Seguina!

Białuszka czuła się zgubioną... Przez chwilę, przypomniawszy sobie historyę Rogaczki, co to się biła całą noc, aby zostać pożartą rano, pomyślała, że może lepiej dać się zjeść odrazu; ale potem odmieniła zdanie i stanęła w obronnej pozycyi, z głową spuszczoną, z rogami nastawionymi, jak przystało prawdziwej kozie Seguina... nie dla tego, żeby miała nadzieję zabić wilka — kozy nie zabijają wilków — ale tylko, aby się przekonać, czy potrafi wytrwać tak długo jak Rogata.

Potwór natarł i małe rożki zaczęły swoje.

A, dzielna kózka, z jakim zapałem poszła ona naprzód! Przeszło dziesięć razy — nic nie przesadzam, Gringoirze — zmusiła wilka do odwrotu i odpoczynku. W króciótkich tych chwilach zawieszenia broni mały obżartuch zarywał z pośpiechem koniuszki ulubionej trawy i powracał do boju z pełnym pyszczkiem.

Tak przeszła noc cała. Od czasu do czasu koza Seguina spoglądała na gwiazdy, migające na jasnem niebie, i myślała sobie:

— Żebym tylko mogła dotrwać do świtu!..

Gwiazdy gasły jedna za drugą. Białuszka zdwoiła razy, wilk silniej uderzył zębami.

Na horyzoncie ukazał się blady brzask... Ochrzypły głos koguta doleciał z bliskiej wioski.

— Nareszcie — zawołało biedne stworzenie, które dnia tylko czekało, aby umrzeć; padła na ziemię; biała jej sukienka była cała zbroczona krwią...

Wtedy wilk rzucił się i zjadł małą kózkę...

Bywaj zdrów, Gringoirze.

Historyi tej nie wynalazłem sam. Jeżeli kiedy będziesz w Prowancyi, wieśniacy nasi nieraz ci powiedzą „o kozie Seguina, która biła się całą noc z wilkiem, a potem rano wilk ją pożarł.“

Słyszysz, Gringoirze?

„A potem rano wilk ją pożarł.“

Tłom. *L. Straszewicz.*

statystycznych. Przedstawiciel 17-go okręgu wyborczego w świetnej mowie domagał się budowy domów dla robotników na rachunek zarządów miast, nałożenia podatku na domy niewynajęte i ustawy o mieszkaniach niezdrowych. Deputat okręgu 15-go uskarżał się na zły i niehygieniczny stan domów w starych dzielnicach, źle zbudowanych, o ciemnych całkiem schodach, bez żadnego względu na zdrowie biednych mieszkańców. Żądał on po prostu zburzenia owych nor, jako strasznego źródła chorób zaraźliwych i budowy nowych domów na rachunek municypalności. Przedstawiciel stowarzyszenia „Plaisance" wyraził w swej mowie bardzo jaskrawo niezadowolenie z „pytlów" parlamentarnych, które dużo mówią, lecz mało robią na korzyść robotników. „Na szczęście — zakończył on — rewolucya wkrótce (!) przepędzi te kanalie." Obywatel Finance domagał się zmniejszenia podatków pośrednich a przedstawiciel grupy Proudhonowskiej nietylko zmniejszenia, lecz zupełnego ich zniesienia i zastąpienia podatkiem dochodowym. Prezydujący ostatecznie zwrócił nawgę, że gdy się żąda zbyt wiele naraz, zwykle nie otrzymuje się nic; o ulepszonych mieszkaniach dla robotników myślą już manicypalności; a w radzie miejskiej Paryża jeden nawet rojalista przyznał, „że każda istota ludzka ma prawo do mieszkania." Jestto już krok naprzód.

O ile w pośród robotników francuskich widocznem jest usilne krzątanie się około poprawienia swego bytu materyalnego, umysłowego i politycznego stanowiska zarazem, o tyle z drugiej strony rząd obecny Rzeczypospolitej zaczyna się również zajmować goręcej losami proletaryatu. Komisya, utworzona przez energicznego ministra spraw wewnętrznych p. Waldeck Rousseau dla zbadania stosunków robotniczych i reformy prawa o stowarzyszeniach współdzielczych, prowadzi wytrwale swe czynności. Mnóstwo stowarzyszeń nadesłało już swoje odpowiedzi na odezwę i zapytania postawione im przez pomienioną komisyę; obok tego komisya wysłuchała wiele ustnych sprawozdań przedstawicieli licznych towarzystw. Zebrany na tej podstawie materyał powinien doprowadzić do gruntownej reformy praw obowiązujących w tym kierunku i możliwej na teraz poprawy bytu klas robotniczych.

W każdym razie zarówno we Francyi, jak w całym świecie ucywilizowanym, coraz bardziej uwidocznia się ta oś, około której wirują wszystkie wypadki naszej epoki — idea ograniczenia kapitału na korzyść pracy. Wielki proces postępuje ciągle. *Cz.*

POLITYKA KRAWIECKA.

W roku 1864 północny Szlezwig czasowo przyłączonym został do Niemiec. Artykuł V traktatu pragskiego poręczał ludności duńskiej możność wyboru ojczyzny za pomocą głosowania powszechnego. Ale warunek ten nigdy nie był wykonany, pomimo domagań się posłów duńskich. Nareszcie w porozumieniu z Austryą zniesiono go i po prostu wcielono północny Szlezwig do monarchii pruskiej. Cyniczne to pogwałcenie własnych, najuroczyściej zaprzysiężonych zobowiązań nie wywołało nawet oburzenia w Europie, przyzwyczajonej oddawna do krawiectwa politycznego. Tylko ludność Alzacyi i Szlezwigu mimo zapewnień dyplomatów i profesorów, że państwo jest pojęciem bezwzględnem, niezależnem ani od różnic narodowych, ani od tradycyj historycznych—w żaden sposób zrozumieć nie może, dla czego od danej chwili musi uważać za swą ojczyznę Niemcy a nie Francyę lub Danię; ale kto znów zważa na protesty ludności jakiegoś tam Szlezwigu!

Alzacya jeszcze znajduje się w względnie lepszem położeniu: po za nią stoi Francya, skupiona, zbrojna, gotowa w sposobnej chwili odebrać wydartą sobie własność. Ale ludność Szlezwigu wtedy chyba tylko doczekać się może zmiany losu, kiedy, według proroctw marzycieli, braterstwo i sprawiedliwość zapanują na ziemi. A w każdym razie termin to jeszcze dosyć odległy. Tymczasem zaś zadawalać się musi bezsilnem, chociaż gorącem współczuciem Danii i niemniej szczeremi, ale również platonicznemi sympatyami braci w niedoli.

Największe łupy nie nasycą nigdy chciwości. Rząd niemiecki nie zadawalając się łatwą zdobyczą, pragnie obecnie nietylko złamać milczącą opozycyę ludności, ale i zmusić do opuszczenia rodzinnej ziemi i tanim kosztem otworzyć nowe pole kolonizacyi germańskiej.

Wierny tradycyi Wielkiego Fryderyka, który bez ceremonii brał rekruta w ościennych państwach, wydał rozporządzenie, wzywające do służby wojskowej wszystkich zamieszkałych w północnym Szlezwigu *duńskich* poddanych, grożąc im w razie niestawiennictwa wydaleniem z granic państwa. Ale nie dosyć na tem: wielu duńczykom, zwłaszcza starszym, pragnącym przyjąć pruskie lub niemieckie poddaństwo, władze miejscowe odmawiają tego zaszczytu, wreszcie zabraniają duńskim poddanym żenić się w północnym Szlezwigu i pozostawiają im możność wydalenia ich z kraju, chociaż ci przedstawiają te same zupełnie rękojmie, co inni cudzoziemcy. Cel tych dekretów — jasny: albo ludność duńska w części opuści dobrowolnie ojczyznę, w części zaś ulegnie i zrzecze się wszelkiej opozycyi, albo w razie oporu zostanie przemocą wydalona.

Okrucieństwo tych rozporządzeń oburzyło nawet członków niemieckiego sejmu. Kiedy deputowany z północnego Szlezwigu, Johannsen, poparty przez kolegę swego Lassena, wniósł w tym przedmiocie interpelacyę do sejmu Rzeszy niemieckiej, wszystkie prawie partye wystąpiły w obronie skrzywdzonej ludności. Postępowiec Richter i ultramontanin Windhorst zaprotestowali energicznie przeciw srogości rządu. Tylko przedstawiciel junkierskiej partyi zachowawczej Kardoff i Minnigerode odezwali się przeciw interpelacyi, ale i ci nie zwalczali jej zasadniczo, utrzymywali tylko, że tego rodzaju skargi podlegają kompetencyi pruskiego sejmu. Ostatecznie protest pozostał bez żadnego skutku a ze strony rządu załatwiono go bardzo prosto: minister Scholtz, zastępujący ks. Bismarka, nie dosłuchawszy skargi, wstał i wyszedł — nie pozostawiwszy nawet ani jednego komisarza.

I znowu węzeł gordyjski rozcięty po krawiecku.

P.

PRZEGLĄDOWE PRACE FILOZOFICZNE.

Na polu prac filozoficznych zapanowała w chwili obecnej posucha. Ani z Anglii, ani z Niemiec nie słychać o pojawieniu się bodaj jednej z tego rodzaju książek, co, jeżeli nie znaczą punktów zwrotnych, to ściągają uwagę na siebie, bądź przez to, że rozwiązują zagadnienia szczególne, bądź dla tego, że rozjaśniają kwestye sporne. We Francyi dzieje się nie lepiej. Cała w tym względzie praca idzie kierunkiem, że się tak wyrażę, przeglądowym—dwojako: raz, że po największej części „Przeglądów" (*Révues*) się trzyma, powtóre, że w książkach, w grubych nawet książkach, posiada ten charakter rewizyjny, który znamionuje obliczanie się z siłami, rozpatrywanie się w zasobach. Dwie szkoły kroczą obok po dwóch równoległych. Nie obchodzi się bez tego, ażeby się nie zaczepiały pazurem polemiki. Powiedzieć nawet można, iż czynią to ustawicznie, ale w tonie przytłumionym, jakby się obawiały podnieść głosu za zbyt wysoko. Szkoła antipozytywistyczna wyraża przekonanie, że nauka doświadczalna nie czyni ujmy najmniejszej zasadom teizmu. Nie do niej należy wykazywać je. Żądają od niej jednej tylko rzeczy, mianowicie utrzymania możliwości owych zasad (*Les Origines*, p. E. de Pressensé). Jest to warunek, na postawie którego nastąpić ma porozumienie, dające rękojmię we względzie *modus vivendi*. Na warunek ten z góry z powiatu przyległego odpowiedziano: *Ignoramus* (Dubois Reymond). Nie zraża to przecież podrażnionych, snujących przędzę swoją na jednym wciąż kołowrotku, przerabiających ten sam temat na sposób zawsze jednakowy i przyznających sobie skromnie tryumf dla tego, że hałasu nie sprawili. W przyznaniu tem atoli nie czuć pewności siebie. Pochodzi to, jak się zdaje, stąd, że przeciwnicy pozytywizmu rekrutują się po większej części pomiędzy ludźmi, dla których *ignoramus* istnieje w zakresie nauk przyrodniczych, uprawianych z pilnością szczególną przez obóz pozytywistyczny. A nuż w zakresie tym strzeli odkrycie jakieś; a nuż w zastępie pracowników młodych znajdzie się talent, pod piórem którego ruch się ożywi i znów uwydatni! Perspektywa podobna jest rzeczą możliwą i, do pewnego stopnia, zatrważającą, zwłaszcza w oczach ludzi światłych — przekonanych, pomimo przekonania jednak nielekceważących przeciwnika, jak to czynić zwykli mędrcy z lewej ręki, wydający wyroki na oślep. Ludzie ci—ludzie światli — w chwili obecnej czynią, jakiem rzekł wyżej, przegląd zasobów, jakby się sposobili do walki; przeczuwając zaś, że ona upartą być może, poszukują sprzymierzeńców.

Nie za co innego, jak za poszukiwanie sprzymierzeńców, uważać należy ostatnią Pawła Janeta pracę, pod tytułem „Mistrze myśli nowożytnej" (*Les maitres de la pensée moderne*, Paryż, Calmann Lévy).

Janet jest to filozof całkowicie *acceptable*, człowiek światły — powiedziałbym „uczony," gdyby się sam tytułu tego nie zrzekał, wyznaczając dla filozofii miejsce pomiędzy teologią a nauką, czyniąc ją sprzymierzeńczynią obu, ale nie łącząc jej ani z jedną, ani z drugą i upominając się dla niej o stanowisko niepodległe, o autonomię zupełną. W tem wyznaczeniu miejsca czuć odbicie wpływu poglądu historyozoficznego Comte'a, dzielącego historyę ludzkości na trzy epoki: teologiczną, metafizyczną i pozytywną. Do wpływu tego autor nasz nie przyznaje się, maskuje nawet go, odrywając te trzy stany od ludzkości i przenosząc na rodzaj jej wybrańców, nie jako epoki, lecz jako cechy. „Ścieśniony — słowa jego — pomiędzy teologiem a uczonym, filozof, wyznać należy, we wcale trudnem znajduje się położeniu. W odniesieniu do pierwszego, sam on jest uczonym: jest wymagającym, dopytującym się, trudnym do zadowolenia; podnosi sprzeczności przeciwników swoich i chlubi się tem, iż nie przyjmuje nic, co mu się nie wyda oczywistem; lecz w odniesieniu do drugiego rola filozofa zmienia się i sam on staje się prawie do teologa podobnym. Stan przeto filozofii jest — według P. J.— stanem ustawicznego pomiędzy dwiema sprzecznemi dążeniami rozdarcia: „z jednej strony lęka się być porwaną ku mistycyzmowi i nadprzyrodzoności, z drugiej ku materyalizmowi i ateizmowi." Przedstawia też ją w walce ciągłej i przedstawienie to ilustru-

je przykładami mężów, których pozytywizm spółczesny uważa za takich, co dla niego drogę utorowali, a którzy bądź źle są zrozumiani, bądź też zstępowali jeno do czyśca materyalistycznego. Stanowi to treść, myśl przewodnią książki, składającej się ze studyów, różnymi zapewne czasy pisanych a stosownie do zadania uszykowanych i przyprawionych. Z pomiędzy nich niektóre mogłyby być bez najmniejszej dla książki szkody opuszczone, co nie sprawiłoby luki, któraby się czytelnikowi uczuć dała. Rzecz, np. o Malebranchu, sprawozdanie złożone Akademii nauk moralnych i politycznych z powodu jej konkursu—niczego nie rozjaśnia i niczego nie dowodzi, wykazując jeno, że Malebranche, mimo wiedzy i woli własnej, o spinozyzm się zahaczył. Przytem, rola mistrza nie należy się mu w żadnym razie i zdziwienie niejakie sprawia nazwisko jego, figurujące w szeregu nazwisk takich, jak: Descartes, Spinoza, Bacon, Hobes, Locke, Pascal, Kant. Również ze zdziwieniem niejakiem spotykamy Maine de Birana znanego szczególnie, jako autora *Essai sur les fondements de la Psychologie*, w którym z rzadką przenikliwością czyniąc to, co by nazwać można doświadczalnością wewnętrzną, wykłada ekonomię inteligencyi człowieczej: nie jest to atoli mąż, ani wpływowy, ani nawet na zewnątrz coraz to bardziej zacieśniającego się kółka rzeczników „łaski,“ głośny. Potrzebnym on był jednak panu P. Janet, jako „filozof spirytualista wieku XIX.“ Takim jest tytuł ostatniego, zamykającego książkę studyum, mającego charakter, albo raczej pozór konkluzyi. M. de Biran służy za przykład człowieka, który, mówiąc językiem doktryny metafizycznej, „z nizin wzniósł się na wyżynę,“ przechodząc stopniowo od sensualizmu do stoicyzmu i od stoicyzmu do chrystyanizmu — do chrystyanizmu nie de Maistra i de Bonalda socyalno-politycznego, lecz — uczuciowego. Ma to być pochód o ile naturalny, o tyle logiczny od materyalizmu do mistycyzmu, jeżeli pochodowi temu na zawadzie nie stanie zaciętość doktrynalna. Mistrze nawet...

Przegląd mistrzów rozpoczyna się od Descarta, który, w rzeczy samej, wpływ wywarł ogromny na filozofię, wpływ tak wielki, że uważa się on nie za odnowiciela jej, ale za nowego fundatora. „Powiedzieć można — twierdzi p. P. J. — iż na Zachodzie naszym filozofia rozpoczęła się dwukrotnie: raz, w Grecyi, przez Thalesa z Miletu, który się ani domyślał, ażeby wprowadzał coś nowego; drugi raz, przez Descarta, który wiedział, co czyni i to czynił, czego chciał.“ Był to filozof i uczony zarazem: w filozofii wynalazł *cogito ergo sum*; nauce zasłużył się spostrzeżeniem, że w naturze wszystko dzieje się wedle reguł mechanicznych. Pan P. J. polemizuje z historykami filozofii, którzy w Descarcie oddzielają naukę ścisłą od filozofii i wykazują w nim dwoistość; broni go przytem przeciwko zarzutom krytyka niemieckiego, Henryka Rittera, obniżającego wartość dowodów jego istnienia Boga i przyznającego wynalazek *cogito* nie Descartowi, lecz św. Augustynowi, po którym tą racyą posługiwał się Campanella. Zarzut ostatni słusznie oburza profesora Sorbony. Oryginalność całkowita w świecie idei niesłychanie jest do osiągnięcia trudną; trudno bowiem wyrzec zdanie, któreby poprzednio bądź dosłownie, bądź pod inną postacią wyrzeczonem przez kogoś nie było. Chodzi o to, kto jaki ze zdania wypowiedzianego użytek zrobił. Ś-ty Augustyn rzucił je mimochodem; Campanella podniósł, lecz nie nadał mu akcentu odpowiedniego; Descartes dopiero uświęcił czyniąc, z niego punkt wychodni systemu, dźwignię ruchu umysłów naprzód. Słusznie też Hegel nazywa go „istotnym filozofii nowożytnej założycielem o tyle, o ile ona myśl za zasadę przyjmuje.“ Dalej: „Nie można dość wysoko cenić wpływu tego człowieka na wiek swój i na czasy nowożytne. To bohater: rozpoczął znów rzeczy od początku i odnalazł grunt istotny filozofii, na który ona powróciła po błąkaniu się tysiącletniem.“

Nie na Descarcie jednak p. P. J. opiera się głównie. Większej wagi, w odniesieniu do myśli spółczesnej, przyznaje on Spinozie dla tego, że nowożytni z przeciwnych obozów krytycy wielkie znajdują podobieństwo pomiędzy spinozyzmem a t. zw. naturalizmem społecznym. Spinoza rzeczywistość widzi w naturze tylko; po za nią Boga nazywa, lecz mu osobistości nie przyznaje; odmawia mu rzeczywistości boskiej; tworzy to, co by się nazwać dało „panteizmem matematycznym,“ wyrozumowanym ze ścisłością taką, z jaką się rozwiązują zagadnienia matematyczne, zatopieniem Boga w naturze*). Przeciwko temu autor nasz protestuje, uważając to jako nadużycie, jako wyciąganie wniosków fałszywych z zasad przez Spinozę przyjętych. „Według naturalizmu — słowa P. J. — wszystko wynika z doświadczenia; według Spinozy wszystko zależy od rozumu.“

Pomijamy innych mistrzów, o których p. P. J. mówi; Bacona, Pascala etc., a przejdziemy do Kanta, będącego osią, na której się treść cała książki obraca. Zarzuty, jakie autor czyni krytykom Descarta i Spinozy, odmawiającym pierwszemu oryginalności, wyciągającym z drugiego wnioski fałszywe, Kantowi uczynić można. Że, jak twierdzą, mędrzec królewiecki z metafizyką skończył, nie byłaby w tem—wedle p. P. J. — ze strony jego zasługa wielka, była to już bowiem rzecz przed nim dokonana przez Locka, Condillaca, Voltaira, Humego; nie skończył on z metafizyką — owszem; „ta wielka krytyka metafizyki (*Krytyka rozumu czystego*) metafizykę w sobie zawiera...“ „pozorny Kanta sceptycyzm jest w gruncie bardzo dogmatyczny, ponieważ, gdyby był konsekwentnym, wyniósł *by* rozum na stopień sędziego absolutnego.“ W tem „by“ tkwi wniosek wyciągnięty i naciągnięty; naciąganie jednak widoczniejszem staje się w genealogii: Kant zrodził Fichtego, Fichte —Schellinga, Schelling — Hegla; taż sama myśl, śledzona cierpliwie i głęboko, prowadzi nas od *Krytyki* Kanta, do *Logiki* Hegla. Pan P. J. powiada, iżby się Kant ojcowstwa tego nie przyznał. Na cóż mu je wmawiać? Na to chyba, ażeby dowieść, iż nie zna realizmu, któryby się w idealizm z konsekwencyi nie przeistoczył. I pozytywizm losu tego dozna.

„Dziwi nas — powiada p. P. J. — gdy widzimy uprzedzenia do filozofii, które w stopniu tak wysokim okazują nauki zwane pozytywnemi; wydaje się nam bowiem, że nauki te, głęboko obmyślane i w najwyższych swych częściach rozważane, dotykają granic metafizyki, są nawet jej, że tak powiemy, stopniem pierwszym. Jakąż bo jest w istocie rzeczy pretensya metafizyki? Polega ona na prowadzeniu nas od rzeczy dotykalnych do takich, co się zrozumieć dają, od podmiotowości do przedmiotowości, to jest od tego, co nam się wydaje, do tego, co jest, od zjawisk do substancyi i przyczyn, wreszcie od względności do absolutu.“

Słowa powyższe tłomaczą założenie książki, z którego autor wywiązał się bardzo dobrze: styl gładki, wykład jasny, na pół popularny, taki, do jakiego przywykli profesorowie Sorbony, mający do czynienia z publicznością, co chce się uczyć i z publicznością, co przychodzi po to, ażeby posłuchać. Czy jednak zamiaru filozoficznego dopiął? — *Ignoramus.*

*) Spinoza wyraźnie Boga utożsamia z naturą — „deus *sive* natura“ (*Red.*)

T. T. Jeż.

UROCZYSTOŚĆ MUZYCZNA W KOLONII.

Zielone świątki tegoroczne upamiętniły się nad Renem sześćdziesiątą z kolei uroczystością muzyczną. Prawie siedemdziesiąt lat temu, trzy miasta zachodnioniemieckie: Kolonia, Düsseldorf i Elberfeld zawarły z sobą umowę, że co roku w jednem z nich koleją odbywać się będą wspólnemi siłami wielkie koncerty; z czasem jednak ostatnie z trzech miast wystąpiło ze związku, a miejsce jego zajął Akwisgran. Odtąd, z wyjątkiem lat rewolucyjnych: 1831, 1848, 1849, 1850 i 1852, oraz 1859, zjeżdżano się po kolei do jednego z miast związkowych i dawano z początku dwudniowe, potem trzydniowe wieczory muzykalne, zapraszając na kierowników najznakomitszych wirtuozów i kompozytorów. Pierwszym, w r. 1818, w Düsseldorfie, był znany poczynającym fortepianistkom naszym Burgmüller; później w roli tej spotykamy takie imiona, jak: Ries, Spohr, Mendelssohn (siedem razy), Schumann, Spontini, Onslow, Liszt, F. Lachner, A. Rubinstein, Joachim, Bruch, Niels-Gade, wreszcie Hiller. Ten ostatni kierował, po raz dwunasty, ostatnim popisem. Jest on dyrektorem konserwatoryum kolońskiego, znanym kompozytorem, szczególnie na fortepian i autorem niejednej pracy literackiej. Ostatnimi czasy, w jednym z miesięczników niemieckich, ogłosił wspomnienia swoje z pobytu w Petersburgu na dworze W. ks. Heleny, w których sympatycznie mówi o Henryku Wieniawskim (*Deutsche Rundschau*, 1883, kwiecień).

Sobota przedświąteczna nie obiecywała pogodnej Zielonej niedzieli: deszcz, wiatr i chłód marcowy zatamowały podróż zjeżdżającym się do starej *Colonii Agrippiny*; z okien wagonów, zamiast ślicznych brzegów Renu, widziałeś zamglone, mętne jakieś obrazy, a wieczorem, w Kolonii, rozpięty parasol zasłaniał widok cudnych wież gotyckiego tumu. Zasnęliśmy bez nadziei pogodnego jutra: jakże miłem było obudzenie nazajutrz, kiedy o uszy obił się majestatyczny głos dzwonów olbrzymiej katedry, a oczy olśnił blask jasnego, wiosennego słońca, świecącego z cieplego i pogodnego nieba.

Pierwsze kroki, ma się rozumieć, skierowaliśmy ku wspaniałemu tumowi. Czy mam go opisywać? Znacie go z tysiącznych rysunków i opowiadań. Powiem to tylko, co może mniej wiadome: że dzwon największy, zwany cesarskim, milczy, bo niepoświęcony; a niepoświęcony, bo arcybiskup, w zatargu z Berlinem i prawami majowemi, tuła się, jako wygnaniec, po ogrodach watykańskich; że zamiast starej a nieładnej podłogi, wkrótce ma być ułożona pyszna, marmurowa, mająca kosztować dwa miliony marek; że miasto zakupuje ze sto domów i domków, zbyt blisko otaczających katedrę, aby ją odsłonić i oprawić w zieleń wspaniałego ogrodu; że robią się potężne organy, które się pomieszczą nad głównym wchodem i zastąpią dotychczasowe, kryjące się w bocznej nawie. Oby brzmiały lepiej, niż obecne, bo te, zapewne skutkiem złego umieszczenia, sprawiają najprzykrzejsze wrażenie akustyczne przez to, iż tony ich zlewają się w swojem następstwie, tak że ani harmonii, ani tempa odróżnić niepodobna; to samo dzieje się i ze śpiewem chóralnym. Obchodząc galeryę, obiegającą katedrę na znacznej wysokości, niepodobna nie zwrócić uwagi na dwie figury, które fantazya budowniczego umieściła wśród potworów, ziejących wodę deszczową z dachów: jedna wyobraża Fausta, a druga Mefistofelesa, z tradycyjnym kopytem końskiem.

Jakkolwiek katedra uważać się już może za skończoną, ciągle jednak architekci

i mularze mają coś do dodania i poprawienia; rusztowania stoją w kilku miejscach, kamienie wznoszą się pod niebiosa, ale nie siłą rąk ludzkich, tylko za pomocą machiny parowej, umieszczonej raz na zawsze pod dachem, nad sklepieniami, na znacznej wysokości. Rzecz dziwna, że do dzwonienia w dzwon cesarski jej nie zastosowano: funkcyę tę w razie potrzeby (czasami rząd każe dzwonić, na przyjazd osób z domu panującego) spełnia 28 ludzi, którzy, za pomocą tyluż sznurów, poruszają serce niepoświęconego olbrzyma, ważącego 500 centnarów, czyli około 2,000 pudów.

Od dzwonów, od wież strzelistych, które poeta nazywa „skamieniałym akordem," przechodzimy łatwo do muzyki, bo też ona jest celem naszej wędrówki kolońskiej. Zapowiedziano uroczystość trzydniową, z programem bardzo zajmującym. W niedzielę tedy, o szóstej, zmierzamy do pięknego, średniowiecznego „Gürzenichu," gmachu, zbudowanego w XV wieku jeszcze, jako „der Herren Tanzhaus." W nim mieści się piękna, obszerna, parę tysięcy osób pomieścić mogąca sala, z wyborną akustyką. Przeszło sześciuset śpiewaków i muzyków zapełnia amfiteatralną estradę*). Na wzniesienie, podobne do ambony, wstępuje sędziwy Hiller, milknie gwar i wkrótce cichym frazesem waltorni rozpoczyna się nieśmiertelna, najpiękniejsza może ze wszystkich, symfonia heroiczna Beethovena. Wykonanie jej uczyniłoby niezmierne wrażenie masą brzmienia instrumentów, nieposzlakowaną czystością wykonania, szlachetnym tonem narzędzi smyczkowych (prawie wszystkie stare włoskie i w rękach wirtuozów!), gdyby nie zbyt powolne tempo pierwszej, najpiękniejszej części. Staruszek Hiller słucha uderzeń swojego serca, a bije ono, niestety, już wolniej u niego. Nasz Moniuszko mawiał, że niczem tak popsuć nie można najlepszej kompozycyi, jak wykonywając ją zbyt wolno. Przekonywaliśmy się o tem, słuchając *eroiki*; scherzo straciło również cały swój urok przez osłabienie tempa; tylko marsz i finale nie chybiły celu i wywołały burzę oklasków. Po Beethovenie wysłuchaliśmy spokojnego, mieszczańskiego opowiadania mistrza Haydna o stworzeniu świata. Chóry i sola wywiązały się dzielnie ze swego zadania; orkiestra również klasycznie się spisywała. Tu już Hiller był w swoim żywiole: starzec dyrygował utworem starca, nie było więc dysharmonii; oratoryum płynęło jak leniwy Ren, dogorywający gdzieś na nizinach holenderskich. Piękne jest ono, pouczające, ale (wybaczcie mi bluźnierstwo)... kapitalnie nudne. Dla czego niem uczęstowano publiczność, raz we trzy lata jak na odpust płynącą, aby usłyszeć coś wielkiego, nowego, potężnego? Rozwiązanie tego pytania kryje się w siedmiu krzyżykach Hillera.

Drugi dzień zabłysnął równie jak pierwszy czystemi niebiosami, ale zionął skwarem lipcowym. Już w niedzielę w źle przewietrzanej sali Gürzenichu upał dochodził do afrykańskiego termometru; cóż dopiero dzisiaj z nami będzie? Ale program koncertu poniedziałkowego tak jest urozmaicony, a zajmujący, że wszelkie przeczucia nikną przed przemożną ciekawością. „Gottes Zeit ist die allerbeste Zeit," kantata J. S. Bacha na sola, chór i orkiestrę rozpoczęła wieczór. Utwór niewypowiedzianie piękny i znakomicie wykonany. Zdumiewać się trzeba nad misternym kontrapunktem arcymistrza, jak to on łączy różne chorały i pieśni w jeden splot harmonijny, jak rozrzutnie szafuje motywami, kiedy, zużytkowawszy dwa z nich do chóru i sola, trzeci oddaje orkiestrze i łączy wszystko we wspaniałą całość. Mimowoli nasuwa się porównanie z utajoną matematyką linii architektonicznych katedry: wszak i jej szkieletem jest mozolnie cyframi i cyrklem opracowany plan, ale znika on pod bogactwem formy ciała kamiennego, tak iż tylko głębszem zastanowieniem i poczuciem doskonałej symetryi przeczuć go można. To samo u Bacha: czuć na dnie ścisłą matematykę kombinacyi, ale genialne poczucie formy tak te rachuby otula, że słuchając, poisz się samą tylko pięknością obsłony, nie zdając sobie sprawy z tego, iż wynika ona i opiera się na liczbach i liniach geometrycznych. Po Bachu słyszeliśmy Händla „Concerto grosso," utwór dziwaczny, w stylu rococo; ułożony jest on po staroświecku: dwoje skrzypiec i wiolonczela występują solo i tworzą tak zwane „concertino," a reszta orkiestry, zwana „concerto grosso," towarzyszy popisom trzech wybranych kolegów. Przez wzgląd na rozmiary sali, po kilku artystów przeznaczono do wykonania unisono partyi solowych. Następujący po tem Mendelssohna Psalm 114 wykonano znakomicie: efektowny to utwór, zajmujący szczególnie pięknem prowadzeniem ośmiu głosów zdwojonego chóru i wspaniałem zakończeniem. Potem nastąpiła balada „Ryszard Lwie serce," utworu Hillera, na tenor, chór i orkiestrę; rzecz napisana ładnie, wykonana jeszcze ładniej, niewychodząca jednak ponad poziom gładkości. Po długiej przerwie, nadeszła najbardziej oczekiwana chwila: wystąpienie Brahmsa, którego prawowierni muzycy przeciwstawią antychrystowi Wagnerowi, Brahmsa, doktora filozofii *honoris causa* (Wagnerowi żaden uniwersytet nie odważył się udzielić tego stopnia, pomimo najgorętsze jego pragnienia). Grzmot oklasków i wiwaty trąb orkiestrowych powitały pięknego, w sile wieku męża, gdy wszedł na podwyższenie i zasiadł za fortepianem. Grał niedrukowany koncert własnego utworu, z towarzyszeniem orkiestry. Kompozycya to pyszna, oryginalna, głęboka, trochę ponura, jak katedra gotycka. Obok niej wczorajsza *eroika* Beethovenowska wygląda jak wspaniały, o jasnych i prostych zarysach Partenon, jak arcydzieło grecko-rzymskie; i nie dziw, wszakże służyć miała, w myśli twórcy, za mauzoleum dla bohatera romańskiego, który się wykarmił Plutarchem, Cezarem i Tacytem. Dnia trzeciego, pod dyrekcyą Brahmsa, wykonano drugą symfonię jego, nacechowaną tymże, co koncert, charakterem. Publiczności najwięcej się podobało scherzo, przypominające trochę znane tańce węgierskie Brahmsa, rzecz takiej filigranowej roboty, jak drobniejsze wieżyczki katedralne. Wracając do koncertu fortepianowego, zanotować trzeba, że waga utworu leży w orkiestrze, która jest przepysznie prowadzona: może dwie trzecie całości spoczywa po za fortepianem, tak iż koncert przybiera charakter symfonii z fortepianem sola. Nie wiedziałem i nie myślałem sobie, żeby Brahms tak dobrze, tak artystycznie władał fortepianem: nigdy nie grywa on na koncertach; wiadomo zapewne czytelnikowi, że obecnie działa jako dyrektor konserwatoryum wiedeńskiego. Bruch należy do najlepszych mistrzów spółczesnych: on, Brahms, Volkmann, to może najwydatniejsza trójca wśród kompozytorów niemieckich. Otóż po koncercie Brahmsa wykonano „Schön Ellen," baladę do słów Geibla, na sola, chór i orkiestrę. Utwór to bardzo piękny, oryginalny, czystością i skromnością budowy mogący walczyć o lepsze z kompozycyami Wagnera. Zakończyła koncert znana każdemu muzykowi, nieporównana uwertura do *Leonory* Beethovena. Wykonanie tak jej, jak i sztuk wyżej wymienionych nic do życzenia nie pozostawiało. Ten dzień drugi najpiękniejszym był z trzech festynowych: prawie ani na chwilę uwaga nie odlatywała od przedmiotu, a to podobno najwyższa pochwała, gdy się pomyśli, że koncert trwał cztery godziny i że drgające fale poruszały powietrze, nagrzane do 30 st. Réaumura.

Trzeci i ostatni wieczór poświęcony był przeważnie bogom *minorum gentium*, z wyjątkiem symfonii Brahmsa (d major), o której jużem mówił i uwertury do *Fausta* przez Wagnera. Ten ostatni utwór był jedynem ustępstwem, które prawowierność muzyczna kolońska uczyniła na rzecz głośnego odszczepieńca i reformatora. Zna ją czytelnik z koncertów Doliny Szwajcarskiej, więc nie będę jej charakteryzował: nadmienię tylko, że, ponieważ w orkiestrze stosunkowo mało użyto dętych narzędzi metalicznych, więc wrażenie było mniejsze, niż zwykle bywa, kiedy intencya Wagnera staranniej jest zachowywaną. Po symfonii Brahmsa przemówił do nas duch Cherubiniego niedrukowaną aryą z Abencerragów: utwór skromny, prosty, głęboki, czuły, zakrawający na śpiewy mistrzów włoskich z XVI i XVII wieku. Potem miał grać na skrzypcach Wilhelmi, ale że wywichnął rękę i siedzi na rekolekcyach w swoim Wiesbadenie, więc uproszono zamiast niego panienkę, grającą także na skrzypcach, uczennicę Joachima; targnęła się ona na koncert Mendelssohna, a później na tańce węgierskie Brahmsa i z Brahmsem; te ostatnie uszły jako tako, ale granie koncertu Mendelssohna niech jej przebaczą bogowie, którzy mi niegdyś pozwalali go słyszeć z pod smyczka Wieniawskiego. Wybaczy mi panna Marya Soldat, gdy do niej zastosuję słowa naszego wieszcza: zawczcześnie, kwiatku, zawcześnie! Arya Händla i jego Aleluja niezmiernie tracą przez owe staroświeckie psalmodye a-a-a-a..., zakrawające na wokalizy Conconna. Czemuż nie poczęstowano nas lepiej jakim potężnym chórem tego mistrza, mając do rozporządzenia blisko pięciuset piersi ludzkich! Schumanna przypomniała nam jedna tylko uwertura jego do *Manfreda*. Niejednemu przychodziło na myśl pytanie, czyby nie było lepiej, gdyby, zamiast tworzenia świata przy pomocy Haydna i popisów młodziutkiej berlinki, obdarzono słuchaczów całością Schumannowskiego *Manfreda*, utworu pierwszorzędnej piękności, nawskróś nowożytnego, a tak rzadko wykonywanego? W dalszym ciągu Reinecke sam dyrygował aryą własnego utworu do słów Heinego p. t. „Almansor:" utwór gładki, ale zimny i bezbarwny; to samo powiedzieć muszę o modlitwie Hillera i o drugim jego utworze „Auf der Wacht." Krótka kawatyna Glücka i chór ze stworzenia świata zakończyły dzień trzeci i ostatni „uroczystości muzycznej dolno-reńskiej" jak się urzędownie nazywa.

Nazajutrz parostatek reński unosił nas na południe; rozwiała się mgła poranna i pozwoliła rozkoszować się cudnymi brzegami Renu, którym pięknością chyba Hudsońskie, od Albany do Nowego-Yorku, dorównają. W myśli grały jeszcze tony wczorajsze, brzmiały sławne nazwiska: Bacha, Beethovena i tylu innych. Mimowoli nasuwał się wyrzut, dla czego zapomniano w Kolonii o Mozarcie, o Gounodzie, mistrzach pierwszorzędnych? A dalej znów roiły się pytania, kiedy to nasi Chopin, Dobrzyński, Moniuszko i nowsi ich epigonowie doczekają się takiego uznania, takiego wykonania i takiego mnóstwa wielbicieli?

Jan Karłowicz.

---

*) Oprócz siedmiu solistów, śpiewaków i śpiewaczek ogółem 484, mianowicie: sopranów 168, altów 124, tenorów 94, basów 98; orkiestry ogółem 131, mianowicie: skrzypiec 44, altówek i wiolonczeli po 20, kontrabasów 14, fletów, oboi, klarnetów, fagotów i trąbek po 4, waltorni 6, puzonów 3, harfa, bęben i tuba.

WSPÓŁCZESNY RUCH RELIGIJNY
w zachodniej Europie.

III.

Przy pomocy podobnych środków szerzył się wpływ ultramontanizmu po całej Francyi. Po upadku cesarstwa fanatycy starali się zakładać stowarzyszenia robotnicze. Związków tego rodzaju w r. 1874 liczyła Francya 119, do których należało przeszło 10,000 robotników. Cyfra to niewielka w porównaniu z ilością niemieckich związków czeladniczych Adolfa Kolpinga, liczących pod koniec siódmego dziesiątka do 90 tysięcy uczestników. Członkowie towarzystw francuskich nazwali się „współbraćmi katolickich związków robotniczych," a godłem ich jest chorągiew z krzyżem i napisem: „Pod tym znakiem zwyciężysz."

Do kogo należy szkoła, do tego i przyszłość. Prawdziwość tego zdania zna najlepiej może duchowieństwo. To też starało się ono i stara utrzymać swój wpływ w szkole. Z pośród 2919 jezuitów, w początkach roku 1876 zajmowało się wychowaniem młodzieży 900 do 1000. Podług statystyki w r. 1874 było we Francyi 41,959 szkół świeckich, mianowicie 19,004 męskich, 6399 żeńskich i 16,516 wspólnych; ilość uczęszczających wynosiła 2,340,344 dzieci płci obojej. Szkół katolickich było w tymże czasie 11,391, mianowicie 1970 męskich, 8322 żeńskich i 1099 wspólnych, do których uczęszczało 1,137,198 dzieci. Trzecia część ich więc kształcona była w duchu moralności jezuickiej. Pod koniec cesarstwa minister Duruy skonstatował, iż w szkołach zakonnych dopuszczano się 4 razy więcej przewinień i 12 razy więcej zbrodni, przeważnie gwałcenia dziewcząt, aniżeli w świeckich. Szkoły „Sacré-Coeur" żeńskie należały wówczas do artykułów mody. Przyczyną tak pomyślnego rozwoju uczelni zakonnych była rozbudzona energia propagandy katolickiej, sprzyjające prawa i niski stan wykształcenia nauczycieli świeckich. Dziś szkoła świecka tryumfuje we Francyi; co się pierwszej nie udało rewolucyi, czego druga Rzeczpospolita nie umiała dokonać, to trzecia, dzięki Ferremu, zdołała urzeczywistnić: bezpłatne, obowiązkowe i bezwyznaniowe nauczanie. Tego już żadna reakcya nie cofnie. Budżet oświaty powiększony został z 24 milionów w r. 1870 do 42 milionów w r. 1877; ogólne rozchody szkolne, włączając wszelkie zapomogi, z 50 milionów podniosły się do 70 przeszło, gdy tymczasem budżet wyznań, dochodzący w 1875 r. do 51 mil. znacznie zmniejszono.

Nie zastrasza to jednak bardzo ultramontanów. Rozmaite wsparcia, podtrzymujące ich działalność, stanowią pokaźną cyfrę. „Stowarzyszenie dla rozszerzenia wiary," według sprawozdań w *Missions catholiques*, dostarcza olbrzymich sum do rozporządzenia jezuitom. W r. 1872 wpłynęło 5,602,645 fr. w 1873 — 5,524,175 fr., w 1874 — 5,485,515 fr., w 1875—4,585,594 fr. Późniejsze cyfry niewiele się różnią od wyżej podanych. Wszystkie prawie państwa przyjmują udział w tem zasilaniu jezuityzmu.

Wszystkich zakładów religijnych we Francyi (1875 r.) było 233, między nimi 27 klasztorów męskich, 76 żeńskich, 54 instytuty dobroczynne, 37 zakładów wychowawczych i pensyonatów, 30 rozmaitych konwentów i 9 więzień dozorowanych przez zakonników. Dla przedstawienia sobie zasobności tych ubogich w duchu, dość wspomnieć, że w Towarzystwie asekuracyjnem „La Providence" ubezpieczono w 1875 r. 50 klasztorów na sumę 18,570,000 fr. i 22 kościoły na 4,480.749 fr.; stanowiło to zaledwie czwartą część wszystkich paryskich konwentów, ubezpieczonych gdzieindziej. Każdy z biskupów francuskich posyła przeciętnie 100.000 fr. rocznie do Rzymu, składanych przez wiernych katolików dyecezyi, a wszystkich biskupów i arcybiskupów jest obecnie 87. Wiele to tysięcy dostarczają rozmaite stowarzyszenia, a wiele ofiar płynie z innych krajów? Nie ciężką też nędzę znosić musi „sługa sług bożych," wyrzekający rozpaczliwie na ciężkie czasy dla kościoła Piotrowego. Stowarzyszenia religijne dobre robią interesy. Towarzystwo np. „Petites soeurs des pauvres," składające się w r. 1840 z dwóch osób, w r. 1860 posiadało już 55 domów zakonnych i 25 milionów fr. w księgach hypotecznych zapisanej gotówki.

Nic więc dziwnego, że taki stan rzeczy wywołuje niezadowolenie pośród wyznawców rzymsko-katolickiego kościoła. Szerząca się obojętność religijna jest koniecznym wynikiem samego ultramontanizmu, uświęconych przezeń zabobonów i nadużyć. Sam sobie przygotowuje upadek, fatalna konieczność popycha go do samobójstwa, które on, chcąc się ratować, nieświadomie wykonywa.

Dziś papież i jezuityzm podali sobie dłonie w celu wyzyskiwania łatwowiernych i ograniczonych umysłów dla swej korzyści. Zakon, zniesiony w zeszłem stuleciu, jako szkodzący kościołowi, wznowiony został w wieku bieżącym i uznany, jako konieczny środek zbawczy dla kościoła i świata. Dzięki jego wpływowi w Rzymie narodził się Sylabus (8 grudnia 1864), przedstawiający zbiór wszystkich potępionych przez papieża teoryj i prawd naukowych, oraz ogłoszenie dogmatu nieomylności papieskiej (18 lipca 1870 r.) W r. 1845 jeszcze nazywano „nieomylność papieża" wymysłem niekatolickim, o czem świadczy, między innymi, katechizm Krautheimerski. Nawet w czasie wyzwalania się katolików angielskich biskupi irlandzcy zapewniali z wiedzą Ojca św., iż „nieomylność papieska" nie jest nauką katolicką.

„Stwarzacie herezyę w Rzymie" — powiedział Montalembert — i nie mylił się. Papieża uczyniono wcieleniem bóstwa: on ma zastępować Chrystusa na ziemi; on jest prawdą, bo Bóg przezeń myśli.

Sobór watykański, nazwany przez pewnego biskupa francuskiego „farce" — „ludibrium," nie był właściwie powszechnym, gdyż nie był wyrazem całego kościoła. Z pomiędzy 1037 głosujących, nie przedstawiających nawet połowy katolickiego świata, około 300 należało do codziennych gości papieża, wielu zaś z pozostałych także znajdowało się w pewnej zależności od Watykanu. Pomimo to tylko 533 głosowało *placet*, t. j. za przyjęciem nieomylności jako dogmatu. Obrady, prowadzone w języku dla wielu nie zupełnie zrozumiałym, odznaczały się niejasnością; opozycyi odmawiano głosu, tłomacząc się brakiem czasu; mowy przerywano w najdrażliwszych punktach; sprawozdania odczytywano prędko i niewyraźnie i t. d. Uchwały swe uzasadniał sobór „Dekretami Izydora," uznanymi przez wielu teologów i znakomitszych historyków za fałszywe.

„Definicya nieomylności była dla kościoła samobójstwem" *), powiedział jeden z biskupów francuskich, a mrg. Dupanloup nazwał ją „niesłychanym absurdem" **). „Doktryna, nieznajdująca poparcia ani w Piśmie, ani w tradycyi, jest wypowiedzeniem wojny całej przeszłości kościoła" ***). Czwarty artykuł deklaracyi francuskiego duchowieństwa z r. 1682 głosi, iż sądy papieskie w rzeczach wiary same przez się są „reformables" i że nieomylność dogmatyczna zawiera się tylko w uchwałach powszechnego kościoła. Artykuł ten umieszczony jest w odmiennych nieco słowach w *Manuel de théologie* z r. 1849, używanym wówczas przez większość seminaryów francuskich.

Brak osobistego poczucia prawdy i samodzielności sumienia pośród katolickiego duchowieństwa spowodował poddanie się wyrokowi watykańskiego soboru tych nawet, którzy go nazwali „samobójstwem kościoła." Liczne jednak głosy zaprotestowały przeciw nowej doktrynie jezuickiej: Montalembert, Dupanloup (chwilowo), Darboy, Maret, Ojciec Gratry, Hyacynt, Michaud itd. we Francyi; Döllinger, Schulte, Reinkens, Friedrich, Michelis i t. d. w Niemczech. Energicznie wystąpili oni przeciw tej samowoli jezuickiej, a zarazem i przeciw wszelkim nadużyciom, jakich dopuszcza się kościół rzymski w rzeczach wiary przez obałamucanie umysłów wymysłami przeciwnemi nauce Chrystusa, przez szerzenie zabobonów itd. W przeciwstawieniu do tego nowo-zreformowanego kościoła rzymskiego, ultramontańskiego, nazwali się prawdziwymi katolikami, opartymi na zasadach Soboru Trydenckiego, czyli—„starokatolikami." Wkrótce jednak i uchwały tego Soboru uznano za mylne.

Starokatolicyzm rozwinął wówczas działalność w kierunku zjednoczenia ogółu chrześcian przez usunięcie przyczyn, które spowodowały rozdział. Ponieważ wszystkie wyznania chrześciańskie: wschodnie, protestanckie, anglikańskie, rzymskie itd. stanowiły przez osiem pierwszych wieków jeden tylko kościół; ponieważ oddzielanie się rozmaitych gałęzi religijnych było wyrazem protestu nie przeciw pierwotnemu katolicyzmowi powszechnemu, lecz przeciw antichrześciańskiemu systematowi rzymskiego ultramontanizmu—prawdziwe przeto zjednoczenie kościoła jest możliwem tylko przez przyjęcie za zasadę nauki przedrozdziałowej, tj. z pierwszych ośmiu stuleci. W kościele Chrystusa nie powinno być bowiem „ani żyda, ani greka, ani niewolnika, ani wolnego, ani różnicy płci, gdyż wszyscy są tylko jednym w Jezusie Chrystusie." (Paweł do Galatów, III, 28). Treść pierwotnego chrystyanizmu w formie zgodnej z warunkami czasu powinna stać się powszechną religią ludzkości. W tym celu wybierano komitety dla dokładnego zbadania go. Przejawia się tu więc ten sam kierunek racyonalistyczny, jaki widzimy w dzisiejszym protestantyzmie.

W Niemczech starokatolicyzm więcej znalazł zwolenników, niż we Francyi. Początkowo w kołach uniwersyteckich pod opieką rządów pruskiego i bawarskiego zorganizował gminy, które łączyły się ściśle z „Utrechtskim kościołem" Jansenistów. W r. 1871 odbył się pierwszy kongres starokatolicki w Monachium a w r. 1872—drugi w Kolonii, w którym przyjęli udział przedstawiciele wszystkich prawie chrześciańskich narodowości, jak również i w konferencyach związkowych w Bonn z r. 1874 i 1875, na których rozprawiano o różnicach dogmatycznych chrześciaństwa. Teologowie angielscy i amerykańscy, rosyjscy i greccy zajęci byli myślą zjednoczenia tego, co Rzym rozdwoił.

Głównym przedstawicielem kościoła wschodniego był Piotr Wasiljew, ówczesny proboszcz cerkwi rosyjskiej ambasady w Paryżu, a następnie profesor Akademii duchownej w Petersburgu (zmarł przed kilku laty). W r. 1873 prof. Reinkens wybrany został biskupem starokatolickim, zatwierdzonym przez rząd. W tymże roku założono w Bonn fakultet starokatolicki. Odtąd odbywają się coroczne synody, zwoływane przez biskupa z Bonn. Na odbytych dotąd zgromadzeniach przeprowadzić cały szereg reform kościelnych, zatwierdzono formularze liturgiczne i książki dla modlitw. W r. 1877 ilość starokatolików

*) *Synopsis observationum*, 134.

**) Tamże, 22.

***) *Observationes quaedam*, 87.

w Niemczech wynosiła około 53,000 osób; dziś dochodzi do 60,000. Rządy pruski i badeński, widząc, że starokatolicy nie okazują chęci dopomagania im w „kulturkampfie,“ zaczęły tamować ich rozwój i ograniczać współudział w korzystaniu z dóbr kościelnych, jaki im został poprzednio prawnie zapewniony. W Baden dano im kilka kościołów do użytku, gdy w Prusach i tego odmówiono; gminy ewangelickie okazały się dla nich życzliwszemi, pozwalając im korzystać ze swych domów modlitwy. W ostatnich czasach w Monachium odebrano jedyny kościół, jaki znajdował się dotąd w ich posiadaniu. Trzytysiączna gmina zbiera więc składki na budowę nowego, w czem i niektórzy protestanci życzliwie im pomagają.

Jan Józef Döllinger, uczony teolog katolicki i głowa starokatolickiego kościoła, urodził się (1799) w Bamberg, gdzie ukończył rozpoczęte w Würzburgu studya. Od 1827 r., był profesorem zwyczajnym historyi kościoła w Monachium i deputowanym uniwersytetu. Od 1851 r. poświęcił się wyłącznie badaniom naukowym. W 1861 r. wystąpił z odczytami publicznymi o sekularyzacyi państwa kościelnego, a w kilka lat później—przeciw nieomylności papieskiej i przyłączył się (1870) do protestu 50 profesorów monachijskich przeciw postanowieniom soboru. Exkomunikowany przez arcybiskupa Scherra, został w 1873 r. wybrany prezesem akademii w Monachium. Od r. 1872 przestał już przyjmować udział w obradach starokatolickiego kościoła, pozostawiając je więcej energicznym przewodnikom. Z dzieł jego zasługują na uwagę: *Kirche und Kirchen, Papstthum und Kirchenstaat* (1861). *Der Papst und das Koncil v. Janus.* (1870).

Józef Hubert Reinkens, pierwszy starokatolicki biskup w Niemczech, urodził się w Burtscheid, niedaleko Akwisgranu. W r. 1848 został księdzem, a następnie profesorem zwyczajnym historyi kościoła w Wrocławiu. Po ogłoszeniu dogmatu nieomylności wystąpił jako przeciwnik jego i główny przywódzca starokatolików. Exkomunikowany w r. 1872, silnie zaczął agitować w sprawie starokatolicyzmu, podróżując po Niemczech i Szwajcaryi. W r. 1873 wybrano go biskupem starokatolickim w Kolonii i w tymże roku powołany został przez ministra oświaty i wyznań do Berlina, gdzie mu wyznaczono pensyę roczną 48,000 marek. Mieszka obecnie w Bonn. Ważniejsze jego dzieła są: *Papst und Papstthum nach der Zeichnung des heil. Bernard.* (1870). *Die päpstlichen Dekrete vom* 18 *Julii* 1870. (1871).

(D. n.)

Dr. A. Złotnicki.

NATURALIZM POWIEŚCIOWY
wobec
„ANARCHII WARSZAWSKIEJ.“

Wszechstronna przedmiotowość — to najwyższa tolerancya, a najwyższa tolerancya jest szczytem cywilizacyi.

Każde społeczeństwo posiada w ogólno-cywilizacyjnej książce meldunkowej ściśle oznaczoną rubrykę. Znajdują się tam obok najrozmaitszych zboczeń, systematyczne dzieje jego rozwoju, jakieś określone wysiłki, wytknięte cele, a przedewszystkiem wielkie dążenia, skierowane ciekawem obliczem w stronę ogólno-ludzkiego postępu, którego hasła nic przygłuszyć nie zdoła.

A przecie znam pewne społeczeństwo, któregobym bez namysłu, od razu, nie umiał zameldować. Posiada ono w łonie swem tyle różnorodnych a niesfornych żywiołów, tyle niezartystycznie w ścisku zbitych kontrastów, że wobec tego ustroju, socyolog stanąłby zakłopotany i nie wiedział, w jakim je rzędzie umieścić. Bo spostrzedz w niem można wybłyski najwyższej cywilizacyi obok nieprzebitej żadnym promieniem ciemnoty, najczystszą szczerość obok obłudy, nieuctwo obok przekrwienia naukowego, wysoki artyzm obok lichego partactwa, pozorne bogactwo obok rzeczywistej nędzy.

Tego rodzaju objawy napotykamy wszędzie, tylko że w owem państwie złe wypłynęło na wierzch.

Państwo moje — jakkolwiek w geografii pod tym tytułem nie istnieje — nosi nazwę: *Anarchii Warszawskiej.*

Ludność jej, z małymi wyjątkami, składa się z osób o bujnej wyobraźni, stanowiących wielki obóz idealistów t. j. istot, które „chcą a nie mogą.“ Jestto nieszczęsna armia korospondentów, których miłosne listy do ideału, w swoim czasie, zalewały francuski Zachód, a którzy przez bohdankę swą zdradzeni, własnym pozostawieni siłom, prostej buchalteryi u siebie wprowadzić nie umieją...

„Anarchia Warszawska“ — to nie Królestwo Polskie, to nie gubernia warszawska — to specyalnie nasza ukochana duchowa Warszawa, będąca wzorem dla prowincyi. Tu każdy działa na swoją rękę, każdy jest czołem, każdy się deleguje — każdy jest wszystkiem. Na sztandarze — lekkomyślność, a najpiękniejszy objaw zdrowia umysłowego — konsekwencya, ten wolny ślub myśli ze swobodą — nie otwiera nigdy pełnego kielicha.

Poglądy tu nie posiadają znamion ogólno-ludzkiej cywilizacyi, lecz są opromienione bladem światłem ograniczonej miejskości. Z fantastycznych pagórków niewywiezionego błota urabiamy sobie pojęcie o Monblancu, a ze szpalt pism lekkomyślnych zapoznajemy się z poważnemi zagadnieniami politycznej, naukowej i literackiej Europy.

Geograficzne położenie nasze, stanowiące niejako przejście między wybujałe rozwiniętym Zachodem, a chciwym dokładnego poznania Wschodem, powoduje, że zadawalamy się okruchami, spadającymi z balastu *transito* podążającego dalej, lub tem, co od czasu do czasu pomyślny wietrzyk z samego Zachodu przypadkiem wprost do nas przyniesie. Nie systematyczna dostawa wytworów duchowych, lecz urywana, gorączkowa, jest przyczyną, że sądy o nich w wielkiej części są niedokładne i niejasne, a będąc błędnymi — szkodliwe.

Większość „poczytniejszych“ pism naszych, którym nie tyle zależy na ścisłości, ile na wiadomości „najświeższej,“ rzuca nieociosaną nowinkę w napoważniejszych zagadnieniach naukowych na pastwę nieoświeconych umysłów i wytwarza w ten sposób najbłędniejsze śród nas pojęcia. Ukształcony czytelnik rachuje się z tem, co znajduje nawet w organie poważnym, podczas gdy rzesza pism „poczytniejszych“ przyjmuje wszystko z dziwnym fanatyzmem na wiarę drukowanego słowa.

Nieuctwo lubi zwykle popisywać się głęboką nauką; ponieważ jednak jest nieuctwem, więc znając po wierzchu, spaczone, wielkie zagadnienia wieku, z niebywałą zuchwałością wdaje się w rozprawy, nieodpowiadające skali jego rozwinięcia. A cóż prytom dziwnego, że grono tłuściutkich gąsek uczone wywody swych wielbicieli przyjmuje z zachwytem i dalej popularyzuje wśród „ludu“ tak zdobytą wiedzę... Który np. z pp. członków licznej gromady lwów salonowych, choćby kilka razy w życiu, nie wieszał psów na... Darwinie? Wtedy to przy wielkim imieniu genialnego przyrodnika ukazuje się zaraz orangutang, szympans lub goryl. Niknie wielkie oblicze nieśmiertelnego myśliciela, ustępując miejsca protokarykaturze poglądów na świat przedhistoryczny.

Podobny los, jaki spotkał w weselszej części naszej prasy teoryę Darwina i jego twórcę. stał się udziałem również i Emila Zoli. Wszelkie istotne, nieskalane widokami osobistymi zasady zasługują na szacunek. Takie też mamy pojęcie i o idealizmie. Szanujemy go jako przekonanie czyste; z chwilą jednak, kiedy z teoryi przechodzi w sferę praktycznego obowiązku i nakazu, usuwamy się od niego, jak od furyata. (D. n.)

LIBERUM VETO.

Krytyk z pod Ratusza. — Ość niezgody. — Małe słówko. — Dwie matki. — Za dobrym przykładem.— Stała służba ogółowi za królewskie dary. — Trybunał etycznego smaku. — Mała uwaga. — Wartość 25-letniej pracy. — *Momus.* — Rozczarowanie z powodu *Ramot.* — Wyblakły dowcip. — Próby.

Nie każdy prawdę lubi, więc lepiej pleść baje,
Na prawdę się gniewają, bajów nikt nie łaje.

Wiedziałem o tem nie tak dawno, jak autor „jasnej kalkulacyi“ w *Momusie*, ale ostatecznie dość dawno, ażeby się nie zdziwić oburzeniem *podratuszowej* krytyki na moje uwagi o darach p. Reszke i p. Szlenkiera. Warto wydobyć na wierzch tę ość, którą się mój przeciwnik udławił. Tworzyją malutkie słówko: obowiązek. Zastanówmy się nad niem. Jest matka, posiadająca drobne dzieci, które potrzebują jej starań; ona jednak zamiast je wychowywać, opuszcza dla lepszej karyery i tylko od czasu do czasu przynosi im kosztowne prezenty. Jest druga, która poprzestając na skromnem stanowisku, pracuje nad wychowaniem swych dzieci sama. I pierwsza ma szlachetne popędy, ale którą postawimy wyżej, która spełnia lepiej swój obowiązek? Chyba druga. Macierzyńskie podarki świadczą niewątpliwie o dobrem sercu, lecz na skali poświęceń rodzinnych nie zajmują najwyższego stopnia, przed którym wzruszony zachwyt potrzebowałby stracić mowę i wyrzucać okrzyki uwielbienia. Podobny wypadek zachodzi z p. Reszke. Jej 20 występów dobroczynnych, wydobywających z kieszeni ogółu kilkanaście tysięcy rubli — hojna jałmużna, ale nic więcej. Jeżeli zaś ma ona być dla nas wzorem, przypuśćmy, że wszyscy, mogący kusić się o podobne laury, pójdą za śladem Reszków, Modrzejewskich, Mierzwińskich, Kochańskich, Zakrzewskich, Wasilewskich. I tak: p. Prus zostaje fejletonistą *Figara*, Lam— *Wiestnika Jewropy*, dr. Kosiński przenosi się do Londynu, Matejko — do Madrytu, Kalinka do Heidelberga, słowem każdy szuka ojczyzny tam, gdzie lepiej płacą i tylko od czasu do czasu przeznacza dochód z książki lub obrazu na korzyść ziomków — co się wtedy z owymi ziomkami stanie? Prawem nikomu swobody w wyborze miejsca bym nie skrępował, szukających właściwego pola dla swych uzdolnień na obczyźnie rozumiem, ale niechże mi naczynia dziwnego nabożeństwa patryotycznego nie każą padać na kolana przed tymi talentami, których nic, prócz chęci obfitszego zysku i krzykliwszego rozgłosu, do emigracyi nie zmusza i które w domu chleb z uznaniem znajdują. Nie? „Obczyzna — według mojego korepetytora — jest u nas koniecznym stemplem na wartość.“ Frazes — pusty frazes! Matejko, Supiński, Chałubiński, Asnyk, Konopnicka setki innych — z zagranicy sławy swojej nie sprowadzali, a skarga na brak uznania w kraju nadewszystko zadziwia śród ludzi i pism, których cał wartości nazywa się w obrębie rogatek warszawskich sążniem. Ciekawy jestem, gdzieby pluton *Kuryera Warszawskiego* w znacznej swej części dosłużył się szlif oficerskich! Chociaż jego szanowny astronom, olśniony wi-

dokiem teatralnej gwiazdy i pragnący wywalczyć dla niej cześć boską, zawalił się ze swem obserwatoryum, nie myślę przeczyć, że jest on pierwszorzędną i nadzwyczaj pożyteczną siłą w naszej literaturze. Nie znaczy to jednak, ażebym wierzył, że on lub ktokolwiek sam lub w nielicznem połączeniu zdoła podtrzymać życie narodu. Faktem jest, że talentów na wywóz nie mamy, że potrzeby, a nawet niebezpieczeństwa walki o byt przerastają znacznie nasze zasoby, że musimy z wszystkich piersi ułożyć tamę dla odparcia fal, które nas zatapiają. Do wytworzenia zaś takiej grobli przyczynia się zarówno teatr, jak literatura, dłuto, pędzel lub warsztat. Gdzież więc racya wspaniałomyślności tego „smaku etycznego,“ który dla wspomożenia biedniejszych od nas francuzów, niemców lub hiszpanów gotów rozrzucać po Europie artystów polskich? Kucharze tego „smaku,“ umoczywszy palce w reklamie artystki, gardzącej krajową sceną, nie tylko wyrokują: *bon sos*, ale jeszcze zmuszają czujących głód powszechny, ażeby się rozkoszowali ich przyprawą. Jest to dosyć zabawne zwłaszcza w ustach ludzi, którzy czasami wzywają ogół nawet do fabrykowania polskiej—teologii. P. Reszke, jako śpiewaczka zagraniczna, złożyła nam bardzo sowitą ofiarę i za to należy się jej serdeczna wdzięczność; ale jako śpiewaczka polska wtedy dopiero zasłużyłaby na wszystkie czczące ją obecnie wiwaty, gdyby pracowała w operze polskiej. Za korzyść z podniesienia prawie całkiem upadłej a dla życia naszego niezmiernie ważnej instytucyi zrzeklibyśmy się jej „iście królewskich darów.“ Dary takie załatają tę lub ową dziurę, ale nie dadzą nam stałego pokarmu duchowego, wzmacniającego siły społeczeństwa. Cenimy p. Reszke daleko wyżej, niż licytowane przez impresaryów całego świata i sprzedające się najwięcej dającemu gardło pani Kochańskiej, które ze wszystkich praw obywatelskich wybrało sobie tylko handel; ale milion razy wyżej od wszystkich przyświecających Europie „gwiazd“ naszych stawiamy w zasłudze jednego Żółkowskiego, który pół wieku grał dla — swoich.

Drugi pozew powołuje mnie przed trybunał „smaku etycznego“ za p. Szlenkiera. Kuryerowy prokurator bowiem twierdzi, że dar 60,000 rs. dla robotników nie jest dla fabrykanta „obowiązkiem“ i pyta czy my tę powinność spełnimy względem „czarnych rąk,“ z których ciągniemy korzyści. Bezwątpienia sąd „smaku etycznego“ ma prawo powoływać się na kodeks *De gustibus non est disputandum.* O ile wszakże przed nim rozprawiać wolno, zrobię następującą uwagę: ponieważ zyskiem fabrykanta jest niezapłacona praca robotników, zatem pierwszy zawdzięcza *głównie* swój majątek ostatnim a skutkiem tego jeśli ich własnowolnie obdarowywa, wynagradza tylko za usługi, czyli spełnia moralny obowiązek. Że nie każdy to robi, że nikogo prawo nie zmusza, że p. Szlenkier jest szlachetnym wyjątkiem — całkiem inna kwestya. Prawo nie zmusza również wyratowanego z ognia, ażeby wynagradzał strażaków, nie każe państwu wypraw wiać jubileuszów służącym — a przecież jedno i drugie się zdarza. Ustrój społeczny, w którym „kruk żyje długo, choć kradnie a baranek i wełną się nie okupi,“ obecna organizacya ekonomiczna, która rozluźnia swobodę walki o byt, która pozwala mocniejszym kłom i pazurom zatapiać się tak głęboko, jak mięso ofiary pozwoli, nie zna takich sentymentalnych „obowiązków,“ jej wyznawcy wytrzeszczają oczy na szlachetną sprawiedliwość i napychając własne kieszenie, gotowi cudzym mniej interesownym stawiać pomniki. Wszystko to przecież nie dowodzi, ażebym nie cenił nawet kija, którym się przez 25 lat podpierałem. Przez 25 lat — proszę zauważyć panie smakoszu etyczny. Dla takich bowiem tylko weteranów pracy p. Szlenkier przeznaczył swoją zapomogę. Trzeba nie mieć najmniejszego pojęcia o zarobkach fabrycznych i wartości rąk, ażeby nie zrozumieć, ile zysku przyniósł kapitaliście i jakiej ceny jest robotnik, który przez 25 lat dla niego pracował. Każda taka ręka—złota żyła. Przyznaje to zapewne i p. Szlenkier, skoro bez żadnego przymusu, z dobrej woli, z rady własnego tylko sumienia tak szlachetnie obliczył się ze swymi robotnikami. A jeżeli go dobrze odgaduję, najmniej on chyba wdzięczny jest trybunałom „smaku etycznego,“ które go bronią od posądzenia, że — spełnił powinność. Czy my ją w swoim zakresie spełnimy? Z ciekawością podratuszowy socyolog raczy się wstrzymać aż do chwili, w której będziemy mieli 25-letnich pracowników i coś im do rozdania. *Nb.* w naszym warsztacie nie mogą to być „ręce czarne.“

Wracam do *Momusa*, z którego trafny dwuwiersz przywiodłem na wstępie. Księgarnia Bartoszewicza wydała świeżo tę zapomnianą krynicę prawdziwego humoru. Trochę ona już zapleśniała, ale jeszcze czysty dowcip z niej tryska. Nigdy nie zapomnę ogólnego rozczarowania po wskrzeszeniu przed kilku laty *Ramot* Wilkońskiego. Ci, którzy ich poprzednio nie czytali a wierzyli sakramentalnemu tytułowi „najznakomitszego humorysty polskiego,“ kupowali nową edycyę z niewzruszoną nadzieją, że położywszy się od śmiechu przy pierwszej stronicy, wstaną dopiero po zamknięciu ostatniej. Prospekt niemal radził, ażeby czytelnicy ubezpieczyli swe życie na wypadek śmierci w śmiechu. Nagle ten i ów przewertował z poważną miną *Ramoty*, ziewnął, uczuł znużenie i poskarżył się przyjacielowi. Rzeczywiście humor Wilkońskiego, dobry dla swego czasu, dla nas już zbladł, spłowiał. Pamiętając ten zawód, przewidywałem go dla *Momusa*. Dowcip Żółkowskiego, polegający przeważnie na grze wyrazów i układaniu dwuznaczników, przyczepiony do bieżącej chwili, mógł się podobać; ale po latach 60 koncepty o „chodzeniu w stolicy chińskiej“ (Nankinie), o „białych głowach“ mężczyzn, o Wiśle, która „nie puszcza, gdy puszcza“ — już nie bawi. A jednakże przyznać trzeba, że *Momus* zachował więcej świeżości niż *Ramoty*, że wśród dziecinnych łamigłówek wyrazowych (np. *Klejnoty* powiał, *Po dole* nas obchodzi itp.) znajdujemy jeszcze dziś perły dowcipu. Nieraz usta drgną szczerym śmiechem, nieraz błyśnie prawda, którą dziś jeszcze świecić trzeba, nasunie się przysłowiowe zdanie, które w obieg puścić warto. Ot np.

„Cnota musiała być niezmiernie starą damą, bo wszyscy ją poważają, a nikt wziąść nie chce.“

„Niewielka to musi być rzecz męstwo, kiedy się nie u jednego w gębie zmieści.“

„Łatwiej dociec, kto jest większy mędrzec, niż kto jest większy głupiec, co nas mocno cieszyć powinno.“

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Uczta w refektarzu. — Pęknięcie Jana i Rafała. — Kłopoty inteligentnej makówki. — Moja podzięka. — Siermiężni i surdutowy. — Naczelnik IV okręgu.

Jak to dobrze, że w wielkim refektarzu ustawili sobie stół w podkowę i że wznosili toasty — rozumie się, z głębi serca. Nietylko *Korespondent Płocki* mógł z tego powodu ujrzeć się w gronie „wybitniejszych z miasta,“ ale i ks. Motyliński miał możność zaprodukowania się ze „zwykłą sobie poważną wymową.“ Dla mnie cała ta uczta w refektarzu płockiego seminaryum, nawet bez udziału szanownego prałata, posiada „wymowę“ bardzo „poważną.“ Nie będąc kucharzem i nie należąc do członków kapituły, nie wiem, ile kosztować będzie biesiada, ale przypuszczam, iż zapłaci się za nią drogo. Rachunek przedstawionym zostanie nie zaraz, ale przeczuwam, że będzie słonym.

Wszystko to jednak niczem jest, gdy pomyślimy, że od lat wielu osierocone katedry nasze będą już miały swoich pasterzy, że chwale bożej stanie się zadość, że choć raz wszystkie paragrafy kościelnego rytuału zostaną wypełnione dokładnie. Niektore z tych paragrafów każą, jak się zdaje, witać nowoprzybywającego biskupa dzwonieniem. Mieszkańcy Lublina musieli jednak ściągnąć na siebie gniewy niebios, gdyż pasterza swego nie będą mogli uraczyć „mową spiżową“ i potężny „Jan,“ przypominający krakowskiego „Zygmunta“ i mniejszy od niego, ale donośny „Rafał“ obaj pękli niedawno i wiszą teraz bez życia w dzwonicy katedralnej... *Gazeta Lubelska* łechce z tego powodu serca i kieszenie swych czytelników i zaprasza je do „przelania“ dzwonów.

Prośbę tę polecam uwadze *Biesiady Literackiej*, która jest specyalistką od „najpilniejszych potrzeb chwili.“ Nie wiem, o ile sprawę „Jana“ i „Rafała“ wezmą do serca mieszkanki Lublina, ale wiem, że jest wśród nas bardzo wielu Jasiów i Rafałków, o których pierwej należałoby pomyśleć. Obowiązek ten zrozumiała niedawno jedna z obywatelek Piotrkowa, występująca w *Tygodniu* z wielce pożytecznym projektem. „Zbiera się, przypuśćmy, piętnaście inteligentnych matek. Każda z nich uprasza sobie do pomocy dwie lub trzy młode panny, z których żadna niezawodnie nie odmówi chętnego w tej sprawie współudziału. Każda z matek decyduje się dwa razy na miesiąc — jeden dzień od rana do zachodu słońca — poświęcić swoim i cudzym dzieciom. Obrawszy na ten cel taki lub inny ogródek, spędza w nim wraz z pomocnicami swemi dzień cały, roztaczając nad zebranemi dziećmi najtroskliwszą opiekę.“ Taką jest osnowa projektu. Jeżeli autorka jego nie spotka się z klątwą za „podkopywanie świętych podwalin rodziny“ i za pogwałcenie „dziewiczej dumy“ pomocnic, to może Piotrków choć jako tako rozwiąże kwestyę duszenia niewiniątek w stęchłych norach miejskich. Chodzi tylko o to, skąd dostać tak wiele inteligentnych matek? Dyrygować tak znaczną orkiestrą Jasiów i Rafałków—to nie drobnostka. Piastunki nasze posiadają tam jakiś odwar makowy, łatwiej więc mogą rozkapryszone bębny uspokoić; ale, jeśli ktoś makówką potrzebuje zastąpić głowę, to nie może z niej przecie robić odwaru. Wyobrażam sobie kłopoty takiej „inteligentnej“, makówki.

— *Imaginez vous madame* — ja tej małej powiadam o sukni ko-ko, ubieranej *à la fiu-fiu*, a ona mi się zaczyna krzywić i płakać.

— *Mais oui*, to istne utrapienie! Ten ordynarny Jaś burmistrzowej, *figurez vous*, rozbeczał się wczoraj, gdy go uczyłam *szastać* prawą nóżką.

Albo znowu nadbiega „młoda“ pomocnica.

— Proszę pani, Staś wpędził sobie w ramię szpilkę sosnową, ale... ja się wstydzę, bo to trzeba rozpiąć koszulkę...

Nie traćmy jednak nadziei. Jeżeli panie nasze mają serce, to miłość włoży im do ręki niejedną książkę pedagogiczną. Szczęścia więc w pracy!

Takie same życzenie musiałbym przesłać dzisiaj do kilku innych zakątków naszej ziemi. Więc naprzód czterem córom domu Działyńskich, które pozakładały u siebie rozmaite szkółki rzemiosł i nauk dla dziewcząt wiejskich. Z tem większą przyjemnością zaznaczam wszelki ruch żywotny w sferze arystokracyi, ile że ogólny

jej widok najbardziej zawsze podkopuje we mnie wiarę w naszą żywotność. Dalej należy się od nas podzięka sędziemu pownej gminy w lubelskiem za to, że dla swych ciemnych klientów, czekających na kolejkę sądową, sprowadził parę pism do czytania. Nasza prasa ludowa nie wyszła jeszcze, a po części nie mogła się wydostać z okresu cudownych bajek i mazgajowatej czułości; sądzę jednak, iż taka nawet oświata lepszą będzie od żadnej, bo łatwiej pono myśl skierować, niż ją rozbudzić.

Szlachetne bardzo myśli i uczucia obudziły się niedawno w mieszkańcach kilku wsi w Lubelskiem. Straszna klęska dotknęła tam niedawno folwark p. W.—Policzyznę. Spaliły się nietylko zabudowania gospodarskie, ale i cały inwentarz martwy, żywy, dochodowy i roboczy. Można wyobrazić sobie położenie właściciela, gdy z powodu opóźnionej wiosny zasiewy nie są jeszcze ukończone, a robotnika ani swego, ani najemnego znaleść niepodobna. Nazajutrz po pożarze p. W. spojrzawszy na swoje smutne pola, zobaczył na nich niebywały tłum ludu, ze sprzężajem, orzący, bronujący i wywożący nawóz — jednem słowem wszystkie najpilniejsze spełniający roboty. Byli to włościanie nietylko miejscowi, ale ze wsi okolicznych: Olszanki, Chmiela, Piotrkowa, Krzczonowa, Żukowa, a nadto ze wsi Stryjna, położonej w powiecie sąsiednim, krasnostawskim.

Siermiężni usługę tę wyświadczyli darmo. Fakt taki jeszcze większego w naszych oczach nabiera znaczenia, gdy się dowiemy, że p. W. przez długi już okres wyborczy pełni urząd sędziego gminy. Okazuje się tedy, że czasem nawet powody waśni „od nas, panie dobrodzieju, niezależne“ można usunąć i żyć z ludźmi w zgodzie. Praktyka naszego życia wskazuje nam od czasu do czasu, kto mógłby zdjąć bandaże i powijaki z naszego ludu, kto miałby moc nauczenia go prawdziwych — nie urojonych obowiązków. Nie korzystamy jednak z tych wskazówek. Nie każdy jest takimjak p. W. sędzią—zwłaszcza swego sumienia.

Niezmiernie łagodnym dla siebie szafarzem sprawiedliwości był jakiś, opiewany przez gazety, naczelnik IV okręgu w powiecie wasilkowskim. Niedawno Izba sądowa w Żytomierzu zajmowała się prostowaniem poglądów tego pana.

Urodzony Maksimowicz — gdyż tak się kawaler nazywa — dostał nominacyę na naczelnika czwartego okręgu, która to miejscowość była ulubionem polem popisów dla tamtejszej armii koniokradów. Równocześnie z nastaniem nowego dygnitarza specyaliści zaczęli wprawiać w ruch stadniny innych okręgów, a w królestwie Maksimowicza Merkury musiał opiekować się tylko kupcami. Sąsiedzi nowo-kreowanej Arkadyi zaczęli podejrzywać głównego jej pasterza o porozumienie, jeżeli nie z dyabłem, to z przywódcą koniokradów. Jakoż okazało się niebawem, że spokój IV okręgu okupiony był tem, iż „operujący“ mieli tam składy swego „towaru.“ Maksimowicz składów tych nie mógł dojrzeć, a to dzięki zasłonie, jaką przed jego wzrokiem zawieszali złodzieje co roku. Zasłonę wyrabiali oni misternie z 30 portretów Katarzyny II. Izba sądowa taką portretomanię „naczelnika“ uznała za godną dość surowych paragrafów karnych.

W tych burzliwych czasach nawet *legalnie* kraść nie zawsze można.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 30 maja.

Koronacya. — Polityka kolonialna Francyi. — Nowy sejm czeski. Kandydaci rusińscy. — Spisek w Rumunii. — Stosunki irlandzkie. — Pokój w południowej Ameryce.

W dniu 27 maja odbył się w Moskwie uroczysty obrzęd koronacyi Najjaśniejszych Państwa. Tegoż dnia ogłoszonym został manifest, obejmujący szereg ulg co do zaległości w wypłatach podatków i zaliczek, zmniejszenie kary dla pewnych kategoryj winowajców kryminalnych, ulgi dla politycznych przestępców, pozwolenie powrotu dla osób zesłanych administracyjnie, z wyroków gmin itp. We wszystkich paragrafach amnestyi dokładnie określone są granice i wyjątki.

O ile manifest ten dotyczy naszych stosunków, pomówimy o nim szczegółowiej.

Rząd francuski, pomimo przestrogi niechęci innych mocarstw, prowadzi dalej energicznie politykę kolonialną. Czynne wystąpienie rozpoczął od ataku na wyspę Madagaskar. Dotąd powodzi mu się tam nieźle; po kilkugodzinnem bombardowaniu zdobyto główny port Majunga i wyparto posterunki hovasów, stojące na spornem terytoryum. Za to w Azyi nie mogą francuzi poszczycić się zwycięstwem. Hanoi, główną ich podstawę operacyjną, osaczyli chińczycy i anamici, a gdy dowodzący oddziałem francuskim komendant Rivière zrobił wycieczkę, został odparty ze znaczną stratą i poległ. W portach francuskich czynią się na gwałt przygotowania do nowej wyprawy. W rezultacie nastąpi prawdopodobnie wojna z Chinami; poseł chiński bowiem w Paryżu oświadczył, że rząd państwa niebieskiego uznaje Tonkin za swoje lenno i bronić go będzie do ostateczności.

Ogłoszony został patent cesarski, rozwiązujący sejm czeski i zwołujący nowo obranych deputatów na dzień 5 lipca. Czesi obliczają, że przy nowych wyborach, wskutek ugody z przedstawicielami t. z. historycznej szlachty, uzyskają większość dwóch trzecich głosów, potrzebną do przeprowadzenia zmian w ustawie wyborczej. Jeżeli rachuba ta nie zawiedzie, mieć będą w sejmie 168 głosów na ogólną liczbę 243 posłów.

Dzienniki rusińskie ogłosiły już zatwierdzoną przez komitet „Narodnego domu“ listę kandydatów w 35 wschodnio-galicyjskich okręgach. Partya świętojurska wystawiła tylko 8 kandydatów — wszystko prawie nowe siły; ze starych przywódców pozostał jeden tylko radzca sądowy, Kowalski. Inni (27) należą do partyi narodowej. Wobec tego faktu przykre wrażenie robią krzyki galicyjskiej prasy o „kandydaturach anti-narodowych“ i potrzebie stawiania polskich w okręgach rusińskich. Jako charakterystyczną właściwość listy wyborczej rusińskiej zaznaczyć winniśmy, że dawniej na posłów wybierano zwykle włościan lub księży, obecnie zaś 22 kandydatów należy do wyższej inteligencyi.

Według doniesień z Rumunii wykryto tam spisek na życie króla Karola i pierwszego ministra Bratiano. Pierwsze wskazówki o przygotowującym się zamachu otrzymano od konsula rosyjskiego w Jassach. Spiskowi są prawie wszyscy mołdawianami, chociaż jedno z pism berlińskich zrobiło ich... polakami! Prowadzone śledztwo rzuci zapewne nieco światła na tę ciemną dziś sprawę.

W Irlandyi snuje się krwawe pasmo zemsty: rząd angielski wiesza w pewnych odstępach czasu skazanych przez sądy, ludność zaś otwarcie objawia swoje współczucie dla męczenników sprawy narodowej. Tysiączne tłumy, zebrane podczas stracenia Curleya. który nie chciał ocalić swej głowy oskarżeniem towarzyszów, wyraziły swą sympatyę 70-letniemu ojcu skazanego i jego wdowie. Denuncyant Carey, „świadek korony,“ uwolniony został od odpowiedzialności i otrzymał 5000 funtów wynagrodzenia; ale oburzenie przeciw niemu ludności jest tak wielkie, że musi on do czasu dobrowolnie pozostać pod strażą. Rząd angielski pragnie środkami gwałtownej represyi zgnieść ruch irlandzki, ale coraz bardziej traci grunt pod nogami; wątpić należy również, czy takie układy z oskarżonymi i kupowanie zeznań za wynagrodzenie pieniężne przyczynią się choć w części do wzmocnienia jego powagi. Lud irlandzki w walce z ciemiężcami wykazał niesłychany w dziejach upór i moc charakteru, posunął się do nadludzkiego niemal bohaterstwa. Dzienniki przytaczają fakt, że matka dwóch skazanych za zabójstwo posiada w ręku dowody niewinności swych synów, ale nie chce okupić ich życia ceną denuncyacyi prawdziwego zabójcy. Czyż takich ludzi przestraszą szubienice?

W Ameryce południowej Rzeczpospolite Chili i Peru po kilkuletniej walce zawarły nareszcie pokój. Dla pozyskania pustych prawie obszarów ziemi, zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, obniżył się dobrobyt, w rezultacie otrzymało Chili sporne terytoryum, złupiwszy do szczętu pokonanego przeciwnika. Gmachy publiczne (np. uniwersytet w Limie) zostały zrównane z ziemią, zbiory naukowe zniszczone lub wywiezione, przemysł i handel zrujnowane na długi przeciąg czasu. A za lat kilka lub kilkanaście zapewne wybuchnie nowa wojna, bo zwyciężeni zapragną zemścić się i odzyskać utracone prowincye.

CUDZE GŁOSY.

Daremne nawoływanie. W chwili, gdy niniejszy numer *Prawdy* wychodzi z pod prasy, walka wyborcza wre w Galicyi w najlepsze. Wyborów dokonano już w mniejszej części a wynik ich, o ile nam jest wiadomy, podamy na innem miejscu. Dalszy ich ciąg atoli i zakończenie odegrają się dopiero w pierwszych dniach czerwca. Wybory z miast i większych posiadłości nie budzą już jednak takiego interesu, jak walka w gminach wiejskich, zwłaszcza w wschodniej części kraju, gdzie podstawą stronnictw są nietylko społeczno-polityczne różnice, ale także narodowe i religijne. Ścierają się tu dwa — rzec można — odrębne światy, a rynsztunek bojowy stanowi cały zasób sił moralnych i materyalnych — zwłaszcza ostatnich... Lud galicyjski, zarówno mazurski, jak i rusiński, nie dojrzał jeszcze politycznie do tego stopnia, aby się nie dał przekupić przy wyborach. Nie potrzebujemy wyraźnie wskazywać palcem, kto w ten sposób lud demoralizuje. Juści chyba nie ci, co nie mają środków po temu...

Przed wyborami oba obozy wysyłają do siebie parlamentarzów, oświadczając się z gotowością do układów. Żyd galicyjski nie dałby jednak ani złamanego centa za te z dobrych chęci szyte, ale częstokroć także i lisami lamowane futerka, tem bardziej, że już to jedna już druga strona wygórowane zazwyczaj i do przyjęcia wprost niemożliwe stawia warunki. Celują pod tym względem zwłaszcza ci, którzy formalną zaprowadzili dla rusinów cenzurę, niby rusko-narodową. Rusini się bronią i nawołują do upamiętania, ale i tym razem nie posłuchano ich głosu.

„Bracia polacy — woła *Diło* — czyż to może leżeć w waszym „narodowym“ interesie, abyście lud tak okropnie demoralizowali? Czy interes kasty, znanej z bohaterskich swych czynów przy przeprowa -

dzeniu „reformy“ gruntowego podatku, ustawy drogowej, konkurencyjnej itd. itd., czy interes garści tej, broniącej wyłącznie swej kieszeni — to istotnie polski interes narodowy?... Czyżby inteligencya polska, która wie przecież dobrze, że za winy przodków pokutują i ciężko jeszcze pokutować będą prawnuki, że demoralizacya wydać może z czasem zastraszające owoce — czyżby inteligencya ta nie potrafiła się zdobyć na uczciwe postępowanie z rusinami?.., Nie dla jakichś chwilowych korzyści, lecz w imię interesów polskich, interesów słowiańskich, wołamy: Panowie, nie depczcie praw naszego narodu, nie wywołujcie z mogił zagniewanych cieniów naszych bohaterów narodowych, co walczyli i kładli głowy za znieważone prawa ruskiego ludu, nie krzywdźcie nas, nie stawiajcie warunków, które mybyśmy mogli wtedy chyba tylko przyjąć, gdybyśmy dla interesu politycznej koteryi, dla chwilowej jakiejś korzyści, porzucić chcieli sprawę naszego nieszczęśliwego ludu.

Nie dziwcie się, że bronimy się zawzięcie, alež kiedy bo nam staje przed oczy cała złowieszcza teraźniejszość i groźna przyszłość. Mybyśmy właśnie pragnęli powstrzymać was braci słowian na pochyłej drodze, po której krocząc, krzywdzicie i doprowadzacie do rozpaczy własnych waszych braci. Podajcie nam ręce, kto myśleć umie uczciwie i szlachetnie!..“

Artykuł powyższy wywarł widocznie pewne wrażenie w łonie polskiego komitetu wyborczego, skoro ten wyciągnął do zgody... jeden palec, zatwierdzając kandydatury czterech, wyraźnie czterech, i to do tego bardzo wątpliwej wartości rusinów na 50 ruskich okręgów wyborczych!...

Sprawa „Schweiggeldu,“ wydobyta na światło dzienne przez J. Gniewosza, redaktora dwu t. z. „rewolwerowych,“ „pokątnych,“ „zaułkowych“ i jak tam jeszcze inaczej napiętnowanych pism (*Sztandar polski* i *Strażnica polska*) podniesiona następnie przez niezarażonego jeszcze dotychczas przekupstwem *Kuryera lwowskiego* i ubita przez sąd „honorowy“ — nie dla wszystkich wydaje się tak ostatecznie ubitą, jak dla samejże interesowanej w niej prasy.

„Dotychczasowy przebieg sprawy dziennikarskiego *Schweiggeldu* — pisze wychodzący w Czerniowcach (na Bukowinie) *Przedświt* — przeraża nas obojętnością, jaką napotkał w społeczeństwie. Wskazano lekko kilka nazwisk, wskazano parę dzienników, które miały się dopuścić zbrodni przekupstwa. Nazwiska te pozostają jednak dalej u steru opinii a odnośne dzienniki zbyły zarzut kilku słowy lekceważenia i już — cisza...

I już cisza?!..

Opinia rodaków zaniepokojona, obcy szydzą z nas w oczy i z pogardą spoglądają na tych, co nie mieli odwagi strącić z trybuny ludzi nadużywających dobrej wiary współobywateli. Zarzuty te ogarniają coraz szersze koła, z przywódców plama przenosi się na całe stronnictwo a zbrodnia ludzi okrywa cieniem zasady, co być nie powinno... A tymczasem dzienniki, od których oczekujemy usprawiedliwienia i odparcia, dawno już przeszły nad tem wszystkiem do porządku, jakby tu chodziło o sprostowanie drobnego błędu drukarskiego, i z tym samym, co dawniej, spokojem zajmują się — sprawą Wassa-Effendiego w Albanii...

Jakto? Więc nic nie zaszło? Więc już cisza? Jest że to dziecięca naiwność, czy też tak daleko posunięty cynizm i lekceważenie opinii narodu?..“

Przykro wyznać, ale raczej podobno to — drugie...

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Wyższe kursa żeńskie w Petersburgu (t. z. Bestużewskie) ukończyło w r. b. 14 polek, a mianowicie: 9 wydział przyrodniczy, 1 matematyczny i 4 filologiczny. W tej liczbie znajdują się dwie mężatki.

— Specyalna komisya wypracowała projekt szkoły politechnicznej w Charkowie. Za wzór służyć mają tego rodzaju zakłady niemieckie.

Zapis. Zmarły za granicą b. wojskowy polski, Napoleon Jeleński, zapisał sumę 23,800 złr. w połowie na szkołę rolniczą w Czernichowie (pod Krakowem). Ze stypendyów korzystać mogą tylko polacy z gubernij zachodnich, pierwszeństwo mają dzieci b. poddanych zmarłego bez różnicy wyznania. Druga połowa kapitału ma być użytą na założenie we wsi Łuczyn (gub. mińskiej) szkoły ludowej.

Sądy. Izba Sądowa warszawska zatwierdziła w całości testament Sierakowskiej, uchylając żądania spadkobierców.

Bibliografia polska. W. Marrené *Życie za życie*, Warszawa.

— *Jerzy i Fragment*, powieści, Warszawa.

Teka Nieczui. Wyszedł z druku w Paryżu pierwszy tom *Teki Nieczui*, pamfletu Zygmunta Kaczkowskiego. Autor w formie podobnej do dyalogów Lucyana ostro krytykuje działalność galicyjskich stronnictw a zwłaszcza stańczyków.

Erudycya. Pisma nasze nadzwyczaj szczęśliwe, gdy im uda się złapać niemców i francuzów na nieświadomości naszych stosunków — wykazują nieraz rażącą ignorancyę. Niedawno *Kuryer Warszawski* pomieścił Chełm w gubernii siedleckiej, *Echo* — Krzemieniec w podolskiej a *Wędrowiec*, pismo poświęcone krajoznawstwu, założenie Berdyczewa przypisuje Kazimierzowi Wielkiemu, kiedy wówczas zabużańska Ruś nie należała wcale do Polski, a mówiąc o Kijowie, powiada, że został założony przez polan, to jest polaków!

Collegium Novum. Na otwarcie nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie przybyło aż 3 ministrów: Conrad, Dunajewski i Ziemiałkowski. Mowy wygłoszone zostały po niemiecku.

Wykłady. Dnia 20 maja odbył się w Lublinie odczyt dra G. Dolińskiego: „Nasze błędy w fizycznem wychowaniu dzieci.“ Następnie zaś dr. Janiszewski czytał: „O naprawie błędów w fizycznem wychowaniu młodzieży.

Nominacya. Katedrę patologii i terapii w uniwersytecie warszawskim obejmuje dr. Łapczyńskij, ordynator szp. Ujazdowskiego.

Czwarty zjazd lekarzów i przyrodników polskich odbędzie się w Poznaniu w d. 3 września b. r.

Kursa medyczne dla kobiet. Przygotowano projekt szkoły t. z. uczonych akuszerek. Kursy mają być przeniesione do Moskwy i urządzone jako samodzielny zakład naukowy. Nawet na kliniki kobiety uczęszczać powinny oddzielnie od studentów.

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Kijowie odbędzie się we wrześniu.

Malarstwo. W tegorocznym Salonie paryskim malarstwo polskie reprezentowane jest nieźle; wyróżniają się szczególniej: Brandt, Gąssowski, Piotrowski i Chełmoński, chociaż ten ostatni figuruje jako malarz rosyjski. Z rzeźb znawcy chwalą biust Godebskiego i posąg Bernarda Palissy Kossowskiego, ucznia sz. szt. piękn. w Krakowie; młodemu rzeźbiarzowi wróżą świetną przyszłość.

Emigracya. Gazeta *Sibir* donosi, że koleją uralską przyjechało do Syberyi w r. 1882 4955 wychodźców z Królestwa Polskiego a w r. 1887—5,708. A my o tem nie wiedzieliśmy wcale!

— W r. 1882 z ziem polskich pod rządem pruskim wywędrowało do innych krajów, głównie do Ameryki, 37,638 osób, w tej liczbie było polaków około 30 tysięcy. Stosunkowo najwięcej wyjeżdża z Prus Zachodnich i Księstwa Poznańskiego. W ostatnich 15 latach wyemigrowało z Niemiec przeszło 200,000 polaków.

Bibliografia rosyjska. Berszadskij *Litowskije Jewrei*, Istorja ich juridiczeskawo i obszczestwiennawo położenja w Litwie od Witowta do Lublinskoj unji. Autor objaśnia, w jaki sposób utworzyły się kahały żydowskie. Na wyodrębnienie żydów wpłynęło prawodawstwo litewskie.

— W Kijowie wyszło nowe wydanie *Kobzarza* T. Szewczenki. W pierwszym tomie znajdują się poezye w języku maloruskim. W 2 tomie pomieszczone będą utwory rosyjskie i autobiografia.

— *Rada* almanach ukraiński, I część wyszła z druku, zawiera utwory najbardziej znanych współczesnych autorów maloruskich: Lewickiego, Mirnego, Staryckiego, Mordowcewa i innych.

Zmarli: Edmuud Laboulaye, senator i publicysta francuski.

— General-gubernator warszawski, Albiedyński.

— Cypryan Norwid, poeta, w Paryżu.

— A. Freyer, znakomity organista.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wiadysławowi Pr. Drukowane były w *Nowinach* (1879) — osobno nie wydano.

P. Stan. Rudz. Będą do nabycia, o ile się przed ukończeniem nie wyczerpią; ceny dziś oznaczyć nie możemy.

Rybakowi. Wysłano.

P. Cz. Pr. Nr. 18 wysyłamy; kwartalnie złr. $3^1/_2$.

P. M. Z. w Warklanach. Nic.

Sprostowanie. W noweli p. t. „Burza w zaciszu:“ str. 183, szp. 1. wiersz 9 od dołu zam. przechodzące, ma być *przechodząc*; str. 183, szp. 2 w. 12 zam. słów, czyt. *snów*; str. 182, szp. 3, w. 1 zam. pióra czyt. *piwa*; str. 194, szp. 3, w. 2 zam. z kawałkiem winno być: *z jednego kawałka;* str. 232, szp. 2, w. 3 zam. wesoło— *w czoło.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Мая 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.